№ 40 Warszawa, dnia 25 Września (7 Października) 1882 roku.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Szkice egipskie (dokończenie). — Sprawa graniczna (wiersz). — Z opowiadania rezydenta (powieść) (dalszy ciąg). — Przegląd literacki.— Z Pragi Czeskiej (dokończenie). — Korespondencya z Paryża --Z kraju i z zagranicy.—Opis ryciny kolorowej.—Zawiadomienia. W Dodatku: Walki życia. Przemysłowiec. Przez Jerzego Ohnet. Przekład z francuzkiego (dalszy ciąg).

## SZKICE EGIPSKIE.

### Z OPISU MALARZA LEPIC.

Streszczone przez

Sewerynę Duchińską.

Miasto Kair. — Pałac Paszy. — Harem. — Strażnicy honoru. — Kobiety z ludu Fellah. — Stróże porządku. — Psy i krogulce. — Shonbrah: miejsce przechadzki pod cieniem sykomorów. —Saisy. — Muzeum Bonlacq. — Mumie Faraonów. — Osły. — Nowoczesne zwaliska. — Szakale, kruki i chmary gołębi. — Wspomnienia o Francuzach w Egipcie. — Stary Arab i Kebir. — Napisy. — Pustynia na płaszczyźnie i w górach. — Fauna egipska. — Wielbłądy, woły i bawoły. — Wodne ptactwo: orły i sępy. — Lwy, nosorożce i hippopotamy. — Krokodyle. — Nekropolia zabalsamowanych krokodylów.

(Dokończenie).

Osobny bardzo ciekawy ustęp, poświęca autor groźnym niegdyś mieszkańcom Nilu, krokodylom. Dawniej przebywały one w całej rzece; dziś widzieć je tylko można bliżej źródeł w Nubii. Bywa jednak, że krokodyl puści się z biegiem wody i ukaże nagle w miejscach opuszczonych, ztąd kąpiel w Nilu czasami niebezpieczna.

P. Lepic opowiada smutny wypadek, zaszły niedawno w okolicach Filoe. Dwa lata temu, nowo zaślubiona para Anglików, puściła się w podróż do Egiptu. W pierwszych dniach stycznia, słońce mocno przypiekło, młody Anglik umyślił wziąć kąpiel w Nilu, aby donieść przyjaciołom londyńskim, że kiedy oni drżą z zimna i nie widzą świata z po za mgły, on najswobodniej igra z falą nilową, pod błękitnem niebem Afryki.

Podczas gdy żona kąpała się na brzegu, Anglik, zawołany mistrz w sztuce pływania, rzuca się na szeroką wodę, nagle znika, słychać tylko krzyk przeraźliwy. Po chwili wypływa do pasa, krzyczy na gwałt, woła rozpaczliwie o pomoc i zanurza się znowu zostawiając za sobą wodę mocno zaczerwienioną.

W mgnieniu oka łódki pomknęły... niestety napróżno. Anglik już nie wypłynął, krokodyl pochwycił go za nogi; trzymając w paszczy łup, wychylił się raz w górę dla złapania tchu, a potem ukrył ciało w jakimś załomie skały, by pożerać je zwolna.

Mimo to Fellahy, śmiało kąpią się w Nilu, podobne wypadki nie często się tu powtarzają.

Krokodyl tutejszy ma sześć do siedmiu metrów długości; gdy śpi na skale wpośród Nilu, wygląda jak powalony pień drzewa. Słuch ma nadzwyczaj bystry, na najlżejszy łoskot, stacza się w głąb' wody i nie ukazuje więcej.

Obrzydliwy ten płaz żyje tylko pół zgniłem mięsem, ztąd robactwo lęże się w około jego paszczy.

Przy krokodylu krąży bezustannie czajka, dla której to robactwo ulubiony stanowi przysmak.

Niegdyś mnóstwo było w Egipcie owych płazów. Jak gdzie indziej węże, tak tu krokodyle, uważane za bóstwo, odbierały cześć ludu. Ciała ich balsamowano jak mumie. Dotąd istnieje ukryte w górach cmentarzysko, gdzie pogrzebano setki tysięcy krokodylów. Lepic zwiedził tę pieczarę, przytaczamy tu ciekawy list jego do przyjaciela, skreślony pod wpływem świeżo doznanych wrażeń.

*Kair 14 marca 1882 roku.*

„Pragnąłem, równie jak moi towarzysze, ujrzeć sławną jaskinię w Massarah, mimo dziwacznych bajek, jakiemi nas usiłowano odwieść od tej wycieczki. Dziś o świcie, ujrzeliśmy na wybrzeżu rysujące się sylwetki Beduinów. Przystępujemy do nich, wchodzimy w układy o osły, gdyż droga daleka a gorąco okropne.

„Tej nocy było dwadzieścia stopni, łatwo pojąć co będzie w południe. W godzinę potem nadciągnęła gromada osłów i Beduinów, psów i dzieci. Dalej w drogę co żywo.

„Naprzód słówko o naszej karawanie. Mamy siedm oślić ze źrebiętami, na chudy grzbiet kładą im kobierce i worki, aby nam było wygodniej siedzieć.

„Beduini zbrojni w strzelby i okute drągi. Otwiera pochód Doliński, inżynier-geolog, za nim pospiesza Dumas Vazze geograf, następnie Klein ze szkoły dróg i mostów, potem cwałuje Ben Siloum pierwszy drogman wyższego, średniego i niższego Egiptu, obok niego ja, a przy mnie sługa Achmed, który zasługuje na szczegółowy opis.

„Krzepki to Arab, kłamca, złodziej, gotów zawsze do bójki, z wieczną klątwą na ustach. Wara temu, kto nie ustąpi z drogi, poczuje kij na grzbiecie. Achmed dźwiga moją strzelbę, ładunki, i malarskie przybory.

„Wjeżdżamy na szeroką dolinę; tu i owdzie skupione chaty, ubite z ziemi, tworzą większą lub mniejszą osadę. Gdzieniegdzie rysuje się palma z długiemi liśćmi. Słońce przypieka, powietrze jak roztopiony ołów. Arabi przejeżdżają na dromaderach. Taki obraz mamy przez parę godzin.

„Ale otóż przed nami góra Ichel. Zsiadamy z osłów, lękając się utracić równowagę. Dumas czyni geograficzne spostrzeżenia, Doliński szuka

skamieniałości; Klein i ja przyglądamy się szakalom pierzchającym z legowisk, zdumionym, że ktoś mąci im błogi spokój. Wdzieramy się nakoniec w głąb' wąwozu. Wkoło sterczą bryły wapiennej skały; był to niegdyś arsenał Faraonów, ztąd jak mówią Beduini, łupane złomy, rzucano na głowy nieprzyjaciołom. Wkrótce wychodzimy na płaszczyznę zasianą skałami, która zasłania nam widok Nilu. Rozwijam mój malarski parasol. Beduini patrzą na mnie z wielkiem poszanowaniem, parasole towarzyszów wyglądają przy moim jak drobne dzieci.

„Doliński nazywa po imieniu wszystkie pokłady, wierzę mu na słowo; co do mnie, wiem tylko, że stąpam po bruku z kryształów białych, czerwonych i żółtych, błyszczących na słońcu jak dyamenty. Moi geologowie, obłupują je młotem.

„Po trzech godzinach drogi, na pół ugotowani, wchodzimy na wyższą, całkiem nagą płaszczyznę. Przed nami, jak wzrok dosięże, wzgórza i góry wznoszą się coraz wyżej a wyżej, odbijając różnemi barwy na tle widnokręgu. Najdalsze całkiem fijołkowe, bliżej oka żółte piętrzą się na zielonych, błękitne na czerwonych; kolor ich zmienia się w miarę oddalenia i natury skalistych pokładów. Gdzieniegdzie złota wstęga ukazuje nam łożysko wyschłej rzeki. Wkoło nas ani źdźbła trawki, ani ptaka, ani najdrobniejszego owadu. Wszędzie głucha pustynia, cisza przerażająca.

„Stajemy nareszcie u celu. Beduini zdejmują z osłów ładunek, rozwiązują pęki sznurów, zapalają pochodnie. Wchodzę w ciasny wąwóz, szukam opalów i jaspisów, nagle spostrzegam jakiś przedmiot, połyskujący zdaleka na piasku. Podnoszę go, to połowa ludzkiej głowy, biała jak kreda, przy niej kilka zwierzęcych kości. Bóg jeden wie ile lat ona tu przeleżała! Wziąłem ten smutny szczątek, wsunąłem go do torby.

„Widzę u stóp moich wydrążony czarny i ciasny otwór. Tędy mają mnie spuścić na długiej linie. Arabi rozebrali się całkiem, gdyż jak mówią, na dole temperatura dusząca. Nie posłuchałem jednak ich rady, zrzuciłem tylko zwierzchnią odzież, zachowałem buty i kaszkiecik. Uścisnąwszy dłoń towarzyszów, chwytam się oburącz liny; w oka mgnieniu byłem na dnie pieczary. Wzrok mój oswoił się wnet z ciemnością, widzę wkoło czerwonawe skały dziwnego kształtu. Arabi weszli za mną. Czołgając się na brzuchu, przypełzałem do dziury wysokiej ledwie na łokieć. Drogman Ben Siloum poprzedza mnie, ośmiela, podaje mi świecę. Posuwam się w trop za nim, trzymając linę, której drugi koniec przytwierdzony silnie do zewnętrznego otworu. Czołgamy się tak około pół godziny, nad głowami naszemi ostra skała drapie nam plecy ilekroć chcemy podnieść ją nieco w górę. Czasami pieczara trochę wyższa, wtedy można usiąść i spocząć, ale nikt nie wyrzecze słowa, ruszamy coraz dalej; nasi Arabi całkiem nadzy, wyglądają jak dyabły wśród ciemności.

„Szliśmy tak godzinę i dziesięć minut. Brak mi tchu w piersiach, gorąco dławi, radbym zawrócić w tył, ale Ben Siloum upewnia, że za dziesięć minut będziemy już u kresu. Pełzam w ślad za nim, sam nie wiem gdzie jestem; jakiś obłęd zmącił mi zmysły. Nowa przygoda wyrwała mnie z osłupienia, zrywa się nagle chmara nietoperzy: uderzona światłem rozbiega się na oślep, muska nas po twarzy, gasi nam świece w ręku.

„Zajęty walką ze wstrętnym nieprzyjacielem, anim spostrzegł, że Ben Saloum stoi wyprostowany wpośród Arabów. Ostrzeżony przez nich, podnoszę w górę grzbiet i głowę. Przybyliśmy wreszcie do mety. Oglądam się wkoło, jestem w grocie wysokiej na jakie piętnaście metrów, pyszne stalaktydy wiszą dokoła. Ziemia zawalona stosami mumii; pełno ich wszędzie, pod nogami i w załomach skał, obliczyćby ich niepodobna.

„Gdzie rzucić okiem, kupy spowitych krokodylów, niektóre mają do dziewięciu metrów długości, inne małe jak ręka, powiązane razem po dwanaście, zaszyte w płótno, obwinięte liśćmi palmowemi. Było ich z jakie sto tysięcy. W kącie powalone pęki sznurów i nici, skraje płótna rozmaitej miary i gatunku, garnki pełne smoły, wiązki liści palmowych, słowem wszelkie przybory do zachowania ciała tych miłych istot.

„Wśród tej armii zabalsamowanych krokodylów, widzę inny zastęp mumii ludzkich. Te nie mają sarkofagów, obwinięte poprostu w płótno lub jedwabną tkaninę, ale rzecz dziwna, odwinąwszy te powijaki, spostrzegłem, że całe pozłocone od stóp do głów, zęby ich nawet błyszczą złotem.

„Byłażby to jakaś osobna sekta, której pamięć zaginęła bez śladu? I któż to dziś odgadnie? Jakkolwiekbądź, te groby Massarah, pokrywają tajemnicę dotychczas niezbadaną. Gdy skończyłem mój przegląd, rzuciłem się na mumię krokodyla, długości sześciu metrów. Ale Arabi oświadczyli, że niepodobna jej wyprowadzić przez ciasny otwór, którym człowiek zaledwie się przeciśnie. Rozbiłem ją, aby unieść przynajmniej kilka części. Zabrałem też tuzin małych i jednego średniego krokodylka.

„Cóżbym ja dał, abym mógł zdobyć, choćby jedną z owych pozłacanych mumii ludzkich. Niestety! chęci moje spełzły na niczem. Wydobyć jej ztąd niepodobna. Odciąłem więc trzy głowy, kilka rąk i nóg pozłoconych, ta praca poruszyła tuman kurzawy, płomień świec podniósł jeszcze temperaturę. Woń żywicy i nietoperzów zapowietrza nas, ręce nasze po zetknięciu z mumiami, pełne smoły, terpentyny, włosów i łuszczki krokodylej; palce mamy pozlepiane, niepodobna poruszyć niemi. Dusimy się, w całem znaczeniu słowa, pierś nasza wybucha płomieniem. Powietrze coraz bardziej rozrzedzone, świece gasną, Ben Saloum pracuje bądź co bądź, ja upadłem na siłach, pot wytryska mi z czoła, chwila jeszcze, byłbym postradał zmysły.

„Odchodzę więc z Arabem, ale zapominam pochwycić sznur do ręki. Niestety! po półgodzinnem pełzaniu, mój przewodnik nie wie gdzie idzie, w lewo, w prawo, czy naprzód, zabłądził w tym odmęcie.

„Przepędziłem chwilę okropną. Umrzeć w ciasnej dziurze, bez powietrza, bez słońca! Dreszcz zimny przebiegł mnie po żyłach. Kładę się na wznak, czekam mego Araba, który cofnął się, szukając toru. Nowa trwoga, on może znalazł drogę, a nie wie gdzie mnie szukać!... Wołam... nikt nie odpowiada... krzyczę coraz głośniej... nic i nic... głucha cisza! Czekam... jak długo? Bóg to jeden wie, sądziłem że wiek cały. Nareszcie słyszę głos... Arab nie znalazł drogi, ale powrócił do jaskini, przyprowadził bieglejszego od siebie przewodnika. W godzinę potem wyszedłem szczęśliwie na świat Boży.

„Nie mam słów aby wypowiedzieć radość moją gdy przez otwór, ujrzałem nad głową błękit nieba, i słońce! wołam... wnet głowy towarzyszów pochylają się ku mnie, słyszę pomieszane ich głosy.

„Wyciągają mnie; gdym się wygramolił, niepodobny byłem do człowieka. Wyglądałem sam jak mumia, przesiąkłem na wskroś wonią trupów.

„Leją na mnie kubłami wodę, ochłonąłem nieco, dalejże odpowiadać na tysiączne pytania.

„Doliński chce się spuścić; zabraniam mu stanowczo. Ben Satoum oświadczył, że nikomu oprócz mnie, przewodniczyć nie chce w tej podróży. Nikt by jej nie wytrzymał.

„Byłem tam... widziałem rzecz w świecie jedyną, we wnętrzu ziemi prawdziwy pałac śmierci. Dotykałem ręką zwłok, z których życie uciekło kilka tysięcy lat temu, a przecież ani dla siebie ani dla świata, nie wyniosłem pod słońce jednego słowa z ich tajemnicy!

„Dziura przez którą wdarłem się do pieczary, nie jest jedyną do niej drogą. Z wielkiej jaskini, kilka szerokich ulic rozchodzi się dokoła, ale puszczać się niemi niebezpiecznie. Pod stopami głuchy łoskot, zapowiada próżnię. Widziałem więc maleńką ledwie cząstkę tej nekropolii, do której prawdziwy przystęp, kryje się może w jakiejś nieznanej skale o kilka mil ztąd oddalonej.

„Wycieczka ta zostanie mi pamiętną, tyle silnych odebrałem z niej wrażeń. Gdybym mieszkał w Egipcie, przedsięwziąłbym tu systematyczne poszukiwania. Kto wie, może w głębi tego świata umarłych, mógłbym odkryć zatracone słowo zagadki, którą starożytny Egipt pozostawił na ziemi jako ponętę dla przyszłych erudytów. Bodajby ktoś inny szczęśliwszym był ode mnie!"

---

# SPRAWA GRANICZNA.

(Wyjątek z większej całości)

przez

**Ludwika Niemojowskiego.**

---

Cichy klasztor zagrzmiał w gwar,
Trząsł się furty stary próg,
Wrzał dom Bożych szmerem sług:
Więc refektarz brzękiem czar,
Więc podwórze warkiem kół.
W refektarzu giął się stół,
Tyleć stało farfur mis:
Na podwórzu istny sąd,
Taki długi kolas rząd,
Hajduckiemi barwy błysł.

A w kolasach szlachty huk,
Ten z pachołki, ten bez sług,
Zasię na co kogo stać,
A postawy dziarskie to
Braci-szlachty! Znalci Szwed,
Ile na kark spadło bied.
Kiedy szlachcic krzyknął ho!
Kiedy jął krzyżową gruć.

Już po Sumie, umilkł dzwon,
Więc ksiądz Gwardyan Bożych sług,
Wyszedł po za furty próg,
I w klasztorny prosi dom,
A każdy zaś temu rad,
Za furtyanem kroczy w ślad;
W refektarzu długi stół,
A ksiądz Gwardyan sadza gości,
Wedle wieku lub zacności,
W szary koniec mnichów wspól.

Pan Wojski pod krzyżem siadł,
Przynależy mu to z lat.

Boć był w leciech zaszły już,
A zaś Rotmistrz jak to wiecie,
Co się otarł w Bożym świecie,
Rycerskiego człek rzemiosła,
Więc biesiadny do rozmowy,
Dostał miejsce z białogłowy,
Podle cnej Wojszczanki tuż.
Porucznika tam nie było,
Wolał doma siedzieć cicho,
Boć się pewno tam to licho
Z gwardyanem poważniło,
Kiedy w wielkiej dworca sali,
W maryasza sobie grali.

Idą zdrowia wraz z kolei,
Naprzód króla jegomości,
Potem rycerskiego stanu,
Potem Gwardyan zacnych gości,
A więc księdza Gwardyana,
A więc ojca kaznodziei,
I tak bawią się w kielichy,
Bracia szlachta wespół z mnichy.

A prawią zasię o szwedzie,
I o krwawych miast pożogach,
I o strasznej kraju biedzie,
I o starciach i o wrogach.
Rotmistrz co sam gardło stawił,
Kiedy zeszło zbośdź się z Szwedy,
Co sam w wojnie doznał biedy,
O rycerskich rzeczach prawił.
Wszyscy milczą, każdy słucha,
Jeden, drugi muśnie wąsa,
Brzęknie szablą, łbem potrząsa,
Lub zarzuci w tył wyloty;
Boć to szlachta klejnot złoty,
Rycerskiego zawżdy ducha,
I wraz z kielichami w dłoni
Z ław powstali: „W długie lata
Niech żyje Rotmistrz kochany!
Wiwat! krzykną — on się skłoni:
— Wielce mi mościwe pany,
Dank wam niosę za uczczenie,
Alem nie wart tej estymy;
Tak panowie, na sumienie,
Wyznać trzeba, raz jedyny,
Jam poddawszy serce strachu,
Umknął z pola bez odmachu.
Ni Szwed spłoszył, ni Tatary,
Ni Bisurman wróg cnej wiary,
Ale jedna białogłowa,
Ciałem Venus, a Bellona
Animuszem. Oto ona,
Tu przytomna cna Wojszczanka,
Wielce mi mościwa panna,
Przed którą ja rycerz stary,
Kornem biję w pokłon czołem.

— Vivat!... krzykną wszyscy społem;
Zdrowie dzielnej męstwem pary!...

Jeźliś widział kiedy kwiat,
Co skraśnieje od promieni
Słońca, gdy oblewa świat
Ciepłem swojem wśród zieleni,
Jeźliś baczył na róż krzew,
Co rozkwita wśród ogrodów,
Kędy ptaszął luby śpiew
Płynie z tchnieniem rannych chłodów,
To wiesz w jaki spłonął żar,
Cudnych lic dziewczęcia czar.

Już gdy wojak wiódł swą rzecz
O tych harcach, toć słuchała,
A pierś ogniem jej zawrzała
I oko zawilgło łzą.
A przylgnęła myślą swą,
K'temu co obnażył miecz,
Gromiąc Szwedy a Tatary,
I pohańce wrogi wiary.
Bo gdy wojny zagrzmi chór,
Gdy się mieczów ozwie brzęk,
Toż w sarmackich piersi cór,
Echem będzie każdy jęk!
Zaś gdy dalej dzielny mąż,
Do niej zwrócił myśl swą całą,
I jej święcił dank swej chwały,
To płoniła się już wciąż
Dumą, chlubą i wdzięcznością,
A rozkoszą a radością.
Boć nie miękki Włocha śpiew,
Ni Francuza suknia pstra,
Ni zgnuśniała Niemca krew,
Lecz oręże dzielna gra,
Lecz pierś co stanie jak mur,
Lecz wzrok w męztwa lśniący czar,
To sarmackich serca cór,
Wzruszy w święty uczuć żar!

Co się potem przygodziło,
To dołożnie nikt nie powie,
Bo wiwatów siła było,
A szło duszkiem każde zdrowie:
Jeszcze sobie coś gwarzono,
Że pito z trzewika pono,
Że pan Wojski się nie zżymał,
Że płoniało dziewcze hoże,
Że cny Rotmistrz prym trzymał,
W jakiejś składnej metaforze,
Coś powiedział bardzo pięknie.
Koniec końcem któż tam pyta,
Co się na odpuście rzeknie?
Byli, pili, a gwarzyli,
Rozjechali się i kwita!

A nazajutrz w rannej porze,
Stanęła bryka przy dworze
Rotmistrzowym; on w żupanie
Pozłocistym siada na nią.
— Gdzie Bóg wiedzie?... wnet zagadnie
Porucznik co wybiegł z dwora.
— Ot w świat sobie...
— A to ładnie,
Mruknie wiarus, boć i pora
Jest do tego. Lecz do kogo
Wolnoż spytać, tak paradnie,
Tak złocisto, tak chędogo?
Jaki żupan fiu! pas złoty,
A sajeta a chaboty!
Czy do króla jegomości,
Czy zaś do księcia prymasa?

Rotmistrz pogładził czuprynę
I poprawił sobie pasa:
— Zgadłeś waszmość do połowy,
Choć nie do króla w gościnę,
Ale jadę do królowej
Serca mego, cnej Wojszczanki,
Da Bóg, żony a kochanki.
Dalej Wojtku! warkną koła,
Ruszą konie kłusem sporym,
A bryka już het za borem.

Stary stanął, potarł czoła,
I rozlepił wzrok szeroko,
I zadumał się głęboko,
I tak patrzył wciąż na błonie.
Spojrzał raz jeszcze w tę stronę,
A podniósłszy w górę dłonie:
„Pod Twoją", mruknął — „obronę,
Uciekamy się o Panie!"

---

# Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

## POWIEŚĆ.

Napisała

**ZBIGNIEWA ZMORSKA.**

(Dalszy ciąg.)

Na drugi dzień obudziłem się z uczuciem jak gdybym to ja sam dostał wczoraj odkosza. Ubrawszy się kazałem sobie osiodłać mego siwego Strzałkę i wyjechałem daleko w pole, a powróciwszy do domu długo jeszcze chodziłem i włóczyłem się po podwórzu bez celu i żadnej potrzeby, nie mogąc zdobyć się na powrót do pałacu i oddanie zwykłego dzieńdobry Jenerałowej. Nieśmiałem stanąć przed nią z tajemnicą moją niewesołą na sercu, lękałem się, że staruszka jak zwykle zacznie ze mną mówić i roić plany najświetniejsze co do połączenia Kseni ze Stefanem i zapytywałem sam siebie, jak nastroję fizyognomią i zachowam się w tym razie, wiedząc, że to wszystko skończyło się niepowrotnie, że nasza fantastyczna pupilka swemi maleńkiemi rączkami bez namysłu i w jednej chwili zburzyła cały ten gmach rojeń, któryśmy oboje budowali skrycie dla jej szczęścia. Nienawidzę z natury wszelkich tajemnic i hipokryzyi i nie miałem czoła wejść do pokoju mojej zacnej przyjaciółki, wiedząc, że czeka mnie tam udawanie i odgrywanie komedyi niepodobnej do uniknienia. Przez wzgląd na zdrowie staruszki, a może i życie, zwłóczyłem jak mogłem powrót mój z podwórza i około godziny dziesiątej dopiero, kiedy Jenerałowa przysłała po mnie Antoniego prosząc do siebie, porzuciłem niepotrzebne wałęsanie się pomiędzy wozami i pługami przed spichlerzem i udałem się na pokoje.

Zastałem Jenerałową już w błękitnym salonie, na swym fotelu przy oknie. Z powodu niezmiernie ciepłego, prawie gorącego powietrza, wszystkie okna w pałacu pootwierane były i wietrzyk ciepły, przesiąknięty wonią fiołków gorzkawym zapachem basiek wierzbowych, powiewając zlekka koronkowemi zasłonami u okien, przewiewał swobodnie po wszystkich pokojach. Staruszka otulona błękitnym kaszmirem, siedziała w krześle oblana cała promieniami słońca. Była niezmiernie ożywiona ciepłem i powietrzem, któremi jej po raz pierwszy tej wiosny doktor pozwolił się uraczyć.

Zaraz też z progu, powitała mnie wesoło zapytując, co tak dzisiaj gospodaruję zawzięcie?

Usiadłem naprzeciwko i zacząłem opowiadać jej o bytności mej na folwarku, w polu i lesie: starałem się pokryć mój zły humor wesołem opowiadaniem, a czułem, że ta moja wesołość tak źle jest udana i tak brzmi fałszywie, że moja przyjaciółka sędziwa lada chwila poznać się musi na mej gorączce i zapytać, co mi takiego? Byliśmy sami w pokoju i obawiałem się, aby nie zwróciła rozmowy na zamążpójście Kseni. Przeciągałem więc

moje opowiadanie, rozwodząc się nad pszenicą od granicy Sulęcina, o życie, które, jeśli tak dalej będzie ciepło, niedługo zacznie się wykłaszać, o potrutych koniczyną owcach, słowem poruszałem wszelkie możebne kwestye gospodarcze, aby tylko niedopuścić do głosu mojej przyjaciółki.

Staruszka słuchała wszystkiego bardzo uważnie i z zajęciem, mimo tego pokazało się przecież, że nigdy zawiele nie może być ostrożności. Wpadłszy bowiem w zapał gospodarczy, właśnie począłem opowiadać o kartoflach, które sadzić zamyślam na polu od Wolskiej granicy i tem właśnie zwróciłem uwagę Jenerałowej na Wolę i młodego jej właściciela. Porzucając też odrazu gospodarczą rozmowę, zapytała mnie gdzieśmy wczoraj jeździli i rychło Stefan odjechał do domu? Odpowiedziałem jej, że dojechaliśmy aż do Leśniczówki, położonej blizko o dwie mile w wielkich lasach królewskich, i że Mirski odjechał wcześniej niż zwykle, nie doczekawszy nawet herbaty, gdyż miał pilne zajęcia na dzień dzisiejszy i bardzo rano chciał być na nogach. Na szczęście, weszła też w tej chwili panna Skarzyńska i składając dzieńdobry naszej pani, odwróciła rozmowę na inny przedmiot.

— A moja kozaczka? — zapytała Jenerałowa nauczycielkę, wysuwając jej krzesło obok siebie.

— W tej chwili nadejdzie — odparła siadając i rozkładając jakąś robótkę na kolanach.—Ukończyłyśmy właśnie lekcyą muzyki w jej pokoju i pozostawiłam ją składającą nuty na fortepianie.

W istocie zaledwie wymówiła te słowa usłyszeliśmy szybkie kroki w przyległych pokojach i ukazała się idąca ku nam Ksenia. Spojrzałem na nią ciekawie. Nie było w niej już dzisiaj widać ani śladu rozmarzenia i czaru, który wczoraj zdawał się owładać jej całą istotę.

Zbliżyła się ku nam wyniosła jak zwykle i lekko w tył przegięta i doznałem prawie olśnienia, spojrzawszy w tę twarz cudowną, której zdawało się, że przez noc jedną przybyło jeszcze piękności a raczej stała się piękną inaczej, na sposób zupełnie nowy niż była dawniej, niż była wczoraj jeszcze. Cała twarz jej jaśniała nowem, podwójnem życiem, oczy zdawały się ciemniejsze i wydawały z siebie jakieś gorące, jasne, promienie, blaski; lekko roztwarte różowe nozdrza chwytały orzeźwiające, wonne powietrze, napływające szerokim prądem do pokoi, a różowe usteczka uśmiechały się rozkosznie do jakiejś myśli słodkiej, która roiła się widać po ślicznej główce, narzucając leciuchny, ledwo dostrzeżony obłoczek na białe czoło.

Z całej postaci dziewczęcia promieniało pełne, świadome siebie, bezgraniczne szczęście. Jeśli dnia wczorajszego był to jeszcze młodziuchny, niewinny pączek, to dzisiejszego poranku rozwinął się już w kwiat wspaniały, świadomy piękności własnej, roztaczający bogactwo swych barw i woni, w blasku gorących promieni słońca. I nie tylko ja spostrzegłem tę zmianę w twarzy Kseni ale i Jenerałowa także, a nie umiejąc sobie zdać z niej sprawy, skoro dziewczyna stanęła w progu, wyciągając do niej ręce, zawołała tylko z zadowoleniem:

— A moja dziecino, cóżeś się dzisiaj wystroiła tak ślicznie?!

Ukrainka miała przecież dzisiaj na sobie tylko swą zwykłą granatową sukienkę codzienną i prostą białą wstążkę zawiązaną zamiast krawaty na szyi. Nasza kochana staruszeczka nie wiedziała, że to co ją zdobiło tak ślicznie, pochodziło z głębi jej samej, przenikało na wskroś jej całą istotę i owiewało ją urokiem jakimś poetycznym, zachwycającym, w którym cała jej postać nabierała nowego uroku i blasku.

Zato Ksenia zbadała już snać dobrze stan swej duszy i wiedziała gdzie leży jasny punkt, od którego rozchodzące się promienie, tworzyły aureolę tajemniczą nad jej czołem. Kiedy bowiem pochyliła się do ręki ciotki i Jenerałowa głaszcząc ją pieszczotliwie po głowie, powtórzyła wesoło:

— Cóżeś mi dzisiaj taka ładna, moja Soniu?— Widziałem jak po twarzy dziewczęcia przesunął się lekki, ledwo dojrzany odblask różowy i nic nie mówiąc przysłoniła cudne swe oczy firankami rzęs ciemnych. Patrzałem na nią z podziwem. Moja Ukrainka dotąd nie umiała się rumienić, ani spuszczać oczu, żywszą barwę wywoływały tylko na jej lica skoki Burana, wiatr mroźny, lub gorące promienie słońca.

Otóż, myślałem sobie, na co się zdały oświadczyny Stefana. Otworzyły oczy dziewczyny na własną piękność, dowiedziała się, że się w niej kochać można, że jest kochaną, spostrzegła się, że kocha sama, nauczyła się rumienić i spuszczać oczy. Gdybym był wiedział, że te rumieńce są własnością innego, byłbym uwielbiał cud, który Bóg przed wieki włożył w naturę kobiecą: ale po za tym cudem widziałem zawsze postać czarnobrodego artysty i stawałem się coraz smutniejszy i więcej milczący.

Kiedy tak siedziałem posępny, patrząc w świat jasny, oświetlony wesołem słonkiem wiosennem, snułem dumki wcale nie wiosenne i niewesołe. Jenerałowa, która od czasu swej słabości potrzebowała rozweselenia i rozrywki, spostrzegła że od pewnego czasu staję się kwaśny i nietowarzyski, że żadnej ze mnie nie ma pociechy.

— To szczęście — dodała z uśmiechem — że to dzisiaj czwartek i jest nadzieja, że Skrzyński jak zwykle dnia tego zawita! Inaczej w twojem towarzystwie, panie Sewerynie, przyszłoby nam tu wszystkim popaść w melancholią!

Odpowiedziałem mojej sędziwej przyjaciółce, że istotnie z humorem i dowcipem malarza nietylko ja, ale i niejeden z młodych nie mógłby rywalizować, ale zapytałem zarazem, czy w dowcipie Eugeniusza widzi jakąśkolwiek wartość głębszą i rozumu choćby najhomeopatyczniejszą dozę?

Jenerałowa roześmiała się.

— W istocie, nie zdaje się być bardzo rozumnym! Jest to dowcip i temperament czysto francuzki. Będzie plótł dnie całe o niczem, prześlizgując się z jednego przedmiotu na drugi, trzeba wszakże przyznać, że nawet nic, w jego ustach staje się zabawnem i śmiesznem. Umieć zabawić towarzystwo, to zawsze dar pożądany, przyznam ci się, że lubię tego chłopca szczerze i nie rozumiem dlaczego żywisz dla niego nietajoną jakąś niechęć i uprzedzenie.

— Nie lubię ludzi tego rodzaju — odparłem wolno i seryo — jest blager i letkiewicz.

— To prawda — odrzekła Jenerałowa z uśmiechem — letkiewicz jest, wiem to oddawna i ze stron różnych. Cóż mnie to przecież obchodzi? — dodała z pewnem lekceważeniem. — W sztuce szukamy tylko efektów i w artystach efektów się tylko spodziewam. Co mnie po jego charakterze? Z charakterem jego my nie możemy nigdy mieć nic wspólnego! Mieszka chwilowo w naszej okolicy, bywa w naszym domu, bawi nas i jesteśmy mu bardzo radzi. W jesieni wyjedzie do Monachium, pożegnamy go na długo, na zawsze może i skończy się. Jako gość jest w domu bardzo przyjemnym, umie rozweselić nietylko moje panny, ale i mnie starą, przytem Ksenia korzysta wiele z rad i wskazówek jego i robi wielkie postępy w rysunku od czasu gdy tu bywa.

Przez cały czas tej rozmowy nie spuszczałem oczu z Kseni. Siedziała na nizkim stołeczku u stóp Jenerałowej, zwijając na kłębek jakieś zielone włóczki i jedwabie i widziałem jak lica dziewczęcia to bladły, to pokrywały się silnym rumieńcem i paluszki rozplątujące pasmo włóczki, drżały silnie jak w febrze. Zapytałem jej, nad czem pracuje tak zawzięcie? Podniosła na mnie oczy tak smutnie, że uczułem na raz wyrzuty sumienia i w głębi duszy nazwałem się tyranem znęcającym się nad uczuciem biednego dziecka, które przecież niewinnem jest, że jest tak jak jest, i zwróciłem sam rozmowę na inny przedmiot. Ale zaledwie troszkę się rozgadaliśmy, szafirowy koczyk w siwe konie ukazał się na szosie i czarnobrody artysta już z mostku leżącego pomiędzy pałacem i bramą, przesełał wesołe ukłony siedzącem w oknie paniom. Życzyłem mu z całej duszy, aby jaki pal stary załamał się pod kołami ekwipażu i poczciwe wody naszego stawu pochłonęły niepowrotnie niefortunnego adonisa, ale Jenerałowa zato kłaniała się gościowi bardzo uprzejmie i przyjacielsko, panna Skarzyńska już na sam widok zajeżdżającego porzuciła robotę i śmiała się wesoło, a na twarzy Kseni odbijało się całe niebo radości i szczęścia.

Naturalnie, że w tem morzu uprzejmości i zadowolenia, moja kwaśna fizyognomia utonęła niepostrzeżenie i kiedy w minutę później Eugeniusz wbiegł do salonu, mógł sobie przyznać, że powitały go same jasne, życzliwe twarze.

Kiedy powitawszy Jenerałową, Skrzyński zbliżył się do Kseni, różowa lekka barwa oblała znowu lica dziewczęcia. Zwykle dotąd witała go jasnem spojrzeniem, wesołym śmiechem i koleżeńskiem prawie ściśnięciem dłoni, dzisiaj przecież drobna jej rączka nie wysunęła się ku niemu tak swobodnie i śmiało jak dawniej. Oczy do połowy tylko podniosły się ku niemu z pod długich rzęsów, które gwałtem spadały ku dołowi, a usteczka uśmiechnęły się uśmiechem słodkim, półtęsknym, półradosnym. Eugeniusz natychmiast spostrzegł tę zmianę, oko mu zabłysło, objął gorącem spojrzeniem postać stojącej przed nim dzieweczki i zatrzymał je na niej długo, trzymając jej rączkę w swej dłoni — zarumienił się lekko i spojrzenie jego zmieniło się w tej chwili dziwnie, stało się prawie tkliwe.

Patrzyli na siebie przez chwilę krótką i widziałem, że powiedzieli sobie tem spojrzeniem wszystko. W tej chwili przecież malarz puścił rękę Ukrainki i obróciwszy się do panny Skarzyńskiej, powitał ją jakimś wesołym dowcipem, który całe towarzystwo pobudził do głośnego śmiechu i następnie ująwszy rękę nauczycielki, prowadząc z nią elegancką utarczkę językową, stał przed nią tak długo nie puszczając z ręki jej dłoni, że przydłuższe powitanie z Ksenią, zatartem zostało zupełnie i zdawać się mogło bardzo pobieżnem i krótkiem.

Domyśliłem się, że o to właśnie chodziło przebiegłemu i zręcznemu artyście i choć przed chwilą zdawało mi się, że dostrzegam w nim odbłysk niekłamanego, rzetelnego uczucia, teraz z głębi duszy nazwałem go komedyantem i z uczuciem prawdziwego wstrętu odwróciłem się od pięknej jego twarzy, która według mego instynktu, zdawa-

ła się stworzoną na okłamywanie i odbieranie kobietom pokoju.

Jak zwykle tak i dzisiaj Eugeniusz dzień cały pozostał w Młynach; był rozpromieniony i jak z rogu obfitości sypał dowcipy, któremi całe nasze towarzystwo trzymał w jednostajnym prawie nastroju wesołym dzień cały. Twarz jego jaśniała głębokiem zadowoleniem jak oblicze wodza po wygranej wielkiej batalii, a błyszczące fosforycznym blaskiem jego oczy ścigały z zachwytem widocznym smukłą postać naszej sieroty, śledząc każdy jej ruch, uśmiech, lub spojrzenie. Pomimo to przecież nie porzucił ani na jedną chwilę taktyki swej zwykłej, i kiedy po obiedzie Jenerałowa znużona może nieco humorem Eugeniusza, odprawiła go od siebie, jak mówiła do młodych, artysta przysiadłszy się do panien, które w drugim pokoju jedna nad igiełką a druga z ołówkiem siedziały, umiał tak sprawiedliwie obdzielać je grzecznościami, że nawet bardzo bystre i uważne oko nie mogłoby dostrzedz jakiejkolwiek w tym względzie różnicy.

Ksenia przecież najzupełniej była zadowolona, zdawało się, że na postępowanie Eugeniusza najzupełniej nie zwracała uwagi. Cała jej postać jaśniała najgłębszem spokojnem szczęściem i dnia tego raz tylko na krótką chwilę, jasna jej twarzyczka zasępiła się przelotną chmurką niezadowolenia w chwili kiedy usłyszeliśmy o zachodzie słońca rżenie konia na tarasie, pod oknami. Był to głos Haspida, i kiedy Jenerałowa wysłała Antoniego aby odebrał konia od naszego gościa, my oboje z Ksenią spojrzeliśmy na siebie zdziwieni. Ukrainka wzruszyła lekko ramionami i przygryzła różowe usteczka z widocznem niezadowoleniem: co do mnie, roześmiałem się. Nie spodziewałem się, aby Mirski dzisiaj zaraz, po tak świeżej porażce stawił się o zwykłej godzinie i ten rys jego charakteru i zimnej krwi niczem niewzruszonej, prawie mnie rozweselił. Uśmiechnięty też wyszedłem na spotkanie jego. Spotkałem go już w sieni zmierzającego do błękitnego salonu, spostrzegł zaraz uśmiech na mej twarzy i witając zapytał co to znaczy?

— Widzę żeś w dobrym humorze, czy masz co pomyślnego?

— Gdzie zaś — odparłem — jest, jak nie może być gorzej.

— Cóż Ksenia?

— Ha! nic, zakochana, teraz już z najzupełniejszą świadomością rzeczy i szczęśliwa jak szczęśliwi bywają aniołowie w niebie! Mówiłeś pan kiedyś że to szczęście, że o swej miłości dowie się sama ostatnia. Otóż, twoje wczorajsze wyznanie, zamiast uratować ją, otworzyło tylko jej oczy na stan własnego serca i przyspieszyło rozwój uczucia, które pragnęliśmy zniszczyć w zawiązku.

Mirski się uśmiechnął.

— Mówiąc językiem ewangelicznym, prostowałem ścieżki przed czarnobrodym.

Roześmieliśmy się obaj.

— Widzisz pan — odrzekł Stefan — z desperacyi zaczynamy być wesołymi.

Powiedziałem mu, że to jego przyjazd niespodziewany, wprowadził mnie w dobry humor.

— Czy być może? — zapytał. — Nie spodziewałeś się mnie? Powiedziałem przecież, że stosunki sąsiedzkie nie powinny tracić nic na tem co zaszło.

— Sądziłem, że przeczekasz dni kilka po wczorajszej porażce.

— Porażka od panny, nie jest porażką — odparł spokojnie. — Porzuciłem moje fabryki i pracę dlatego, aby zbliżyć się do Młynów i nie myślę ani jednego dnia tracić napróżno.

Byliśmy już tuż pod drzwiami salonu i zatrzymałem go prawie w progu.

— Powiedz mi pan, czy zdaje ci się, że posiadasz jeszcze jakąkolwiek nadzieję?

— Czysz sądzisz, że człowiek kochający prawdziwie może tracić kiedy nadzieję? — zapytał seryo.

— Powiadają, że wtedy, gdy kobieta ukochana stoi przed ołtarzem.

— Kiedy odchodzi od niego — odparł spokojnie. — Panna Ksenia ma jeszcze do ołtarza dosyć daleko, a choć jak mówisz prostowałem dla nich do niego drogę, to pozostaje jeszcze pewność, że nie wszyscy ludzie lubią takie proste ścieżki i gotowi zwrócić się od zamierzonego celu, dlatego tylko, że nie prowadzi ona kręto i po manowcach.

— Cóż zatem zamyślasz czynić?

— Nic! — odparł otwierając drzwi salonu — idę zobaczyć, jak wygląda panna Ksenia w nowej fazie.

Panna Ksenia w nowej fazie przyjęła wchodzącego bardzo poważną twarzą, podała mu na powitanie rękę dosyć sztywnie i w całej jej postaci malowało się bardzo jawne zakłopotanie i nieśmiałość. Widocznie nie raźno jej było spotykać się i witać z człowiekiem, którego wczoraj dopiero odpędziła od siebie, wyśmiawszy bezlitośnie. Była jeszcze zbyt młodą, aby umiała uczucia swoje pokrywać eleganckim płaszczykiem zwykłej grzeczności salonowej i zrobiło mi się żal prawie mojej wesołej, swobodnej dotąd jak ptaszę Ukrainki, widząc ją po raz pierwszy tak onieśmieloną i zbitą z toru. Mirski zdawało się, że nie zwracał wcale uwagi na zakłopotanie dziewczyny, podał jej rękę uprzejmie jak zwykle i siadając naprzeciw niej, przy ogólnym stole, zapytał najswobodniej, co to zrobiło się Buranowi, którego Grzegorz moczy w stawie nad szosą.

— Zdaje się, że to wczorajsza późna wycieczka tak mu nie posłużyła — odparła dziewczyna nie podnosząc oczu od ołówka, którym machinalnie kreśliła fantastycznie jakieś arabeski po papierze — kiedy rano o szóstej poszłyśmy z Helenką do stajni, zameldował stangret, że koń kulawy i nie będzie można kilka dni ruszyć go z miejsca a pan Seweryn w dalszym ciągu, przepisał mu na nogę kąpiele w stawie.

— Zapewne to ów skok przez parkan ogrodowy tak mu nie posłużył?

— Zdaje się — krótko odrzekła Ukrainka.

— W takim razie na dzisiejszą wyprawę występuje pani na Profesorze — rzekł Stefan zupełnie poważnie.

Pomimo widocznych wysileń, aby nadal utrzymać się w poważnej roli i oczu spuszczonych uparcie, Ksenia parsknęła głośnym śmiechem. Profesorem zwał się nasz stary, przynajmniej dwudziestoletni gniady arabczyk, którego zawsze przeznaczaliśmy pannom na zastępcę, gdy który z ich wierzchowców był chory, lub zmęczony, a którego Ksenia bardzo nie lubiła z powodu nadzwyczaj powolnego temperamentu i niewzruszonej obojętności na wszelkie zachęcania do szybszego biegu. Razu pewnego nasza amazonka w napadzie dobrego humoru, prześladując Mirskiego i wyśmiewając jego angielską krew zimną i spokój, porównała go z temperamentem arabczyka, twierdząc że tych dwóch istot ożywić nie ma sposobu. Od tej chwili Mirski, którego dziewczyna zwała zwykle „oksfordzkim profesorem", podzielił się swym przydomkiem z gniadoszem, zowiąc go bardzo poważnie kolegą, my zaś wszyscy, a za nami służba cała, nie zwaliśmy go inaczej jak Profesorem. Zapewne Ksenia nie spodziewała się ze strony odrzuconego konkurenta, humorystycznej wzmianki o gniadym Profesorze, dlatego młodość i wesoły charakter biorąc górę po nad wszelkiemi innemi względami i okolicznościami, wybuchnęły z niej całą mocą. Roześmiała się po raz pierwszy dnia tego, a spotkawszy spokojne, łagodne spojrzenie Stefana zwrócone na siebie z uśmiechem pobłażliwym i przyjacielskim, rozjaśniła stopniowo twarzyczkę i czułem, że wdzięczną być musiała młodemu człowiekowi za to, że tym żartobliwym zawiązaniem rozmowy, wyprowadził ją odrazu z drażliwego i przykrego położenia, że starał się wszelkiemi sposobami przekonać Ksenię, że nie żywi do niej żadnego żalu i urazy. Był z nią zawsze równie poważny, równie przyjacielski i pobłażliwy, otaczał ją jeśli to być mogło, grzecznością większą niż dawniej, unikał najusilniej wszystkiego cokolwiekby przypominać mogło dziewczynie ową rozmowę na werandzie ogrodowej i starał się zatrzeć w jej umyśle wrażenie to zupełnie. Ksenia umiała ocenić delikatność młodego inżyniera; mówiąc ze mną o nim nazywała go prawdziwym gentlemanem i choć do dawnej z nim swobody nigdy nie powróciła i w zachowaniu jej przebijała się zawsze pewna nieśmiałość, witała go jednak bardzo życzliwie i starała się złe, które mu wyrządziła, wynagrodzić wielką uprzejmością i grzecznością wyróżniającą. Ktoby też był patrzył na tych dwoje młodych ludzi rozmawiających z sobą godzinami całemi, otaczających się wspólnie dowodami największej uprzejmości i życzliwości, aniby był przypuścił, że pomiędzy nimi rozegrało się coś takiego, co nieraz w jednej minucie zmieniało przyjaciół w śmiertelnych wrogów.

*(D. c. n.)*

# PRZEGLĄD LITERACKI.

W jednym z poprzednich przeglądów naszych dotknęliśmy wydawnictwa K. Bartoszewicza „Dzieła Jana Kochanowskiego." Tom I.—Otóż dziś znowu przychodzi nam zanotować, że tegoż wydawnictwa wyszedł już i tom drugi, a będzie ich wszystkich cztery, z których ostatni obejmie łacińskie pisma księcia poetów, w tłomaczeniach Brodzińskiego i Syrokomli.

W ślad za tem podążył i p. Altenberg ze Lwowa, który przystępując do tegoż wydawnictwa postąpił sobie jeszcze niewłaściwiej jak p. Bartoszewicz, bo oprócz, że podjął je w chwili rozpoczęcia wydawnictwa dzieł Kochanowskiego przez Komitet warszawski lecz nadto stanął do konkurencyi z firmą krakowską.

Pan Altenberg daje *Wszystkie dzieła polskie Jana Kochanowskiego* w dwóch tomach gustownie oprawnych i drukowanych w Lipsku, jakby w Krakowie, Lwowie lub Warszawie nie było również dobrych i sumiennych drukarń. P. B. do czterech tomów swoich mniej ozdobnych, dodaje portret poety i jego życiorys, p. Altenberg zaś na czele pierwszego tomu pomieścił chronologicznie ułożoną bibliografią dzieł Kochanowskiego, wyszłą z pod pióra Wład. Bełzy.

P. Bartoszewicz przystępując do wydawnictwa dzieł Kochanowskiego, wertował stare edycye, po-

równał je z sobą i paręset błędów będących—Turowskiego poprawił, uwzględniając nadto poprawki wprowadzone przez Przyborowskiego. Tymczasem p. Altenberg daje nam literalny przedruk Turowskiego pozwalając sobie tylko ze *względu na przyzwoitość* pousuwać znaczną część fraszek tak jakby dzieła klasyków czytane były przez dzieci i podlotki. Niedosyć tego p. Altenberg pozostawiając wiele bardzo wolnych fraszek, jak o Łazickim, O mierniku, O gospodynie i t. d., wypuścił te wszystkie w których znajduje się jakiś wyraz: „nieprzyzwoity", choćby nawet taki, co jest aż nadto dobrze znany dwuletniemu dziecku! Niedosyć tego wszystkiego, niedosyć, że p. Altenberg daje nam przedruk z Turowskiego lecz nadto zachował w wydawnictwie swojem i wszystkie pomyłki zecerskie jakie się znajdują u Turowskiego. Nie ma co mówić, sumienność wydawnicza posunięta do ostatnich granic!! Wynika z tego że z przedrukiem Turowskiego p. Altenberg niepotrzebnie się fatygował wobec lepszego i pełniejszego, choć na gorszym papierze wydania p. Bartoszewicza. Tak co do wydania samego, jako też i ceny obydwóch edycyi zachodzi różnica. I tak: cztery tomy *Dzieł Jana Kochanowskiego* wydawnictwa Bartoszewicza kosztuje 2 złr. 40 cen., zaś *Wszystkie dzieła polskie Jana Kochanowskiego* wydania Altenberga w dwóch tomach, również 2 złr. 40 cent. Wynika więc z tego, że wydawnictwo Bartoszewicza, o wiele, bardzo wiele pełniejsze i krytyczniej obrobione, kosztuje o połowę taniej niż te p. Altenberga. Z tem wszystkiem jednak tak p. Bartoszewicz jako też p. Altenberg nie dają nam dzieł Kochanowskiego w obrobieniu jak najzupełniej krytycznem, z wyjaśnieniami językowemi opartemi na badaniach języka Kochanowskiego — lecz dają poprostu duplikaty już od dawna nam znanych wydawnictw. Zupełnie inaczej przedstawi się wydawnictwo *prawdziwie wszystkich* dzieł Kochanowskiego, podjęte przez Komitet jubileuszowy, który utwory poetyckie książęcia naszych poetów zaopatruje jak najszczegółowszemi objaśnieniami i krytycznemi uwagami porównawczemi z innemi dawniejszemi wydawnictwami. Wydawnictwo to obejmie wszystkie dzieła pisane po polsku lub po łacinie, bardzo obszerny życiorys poety, pogląd krytyczny na prace jego i badania porównawcze języka Kochanowskiego, nad czem pracuje prof. J. Przyborowski. To więc jubileuszowe wydawnictwo będzie posiadało nie tylko swą naukową wartość lecz nadto będzie godne pamięci poety.

*Wł. Kor. Zieliński.*

---

## Z PRAGI CZESKIEJ.

(Dokończenie.)

Teraz słówko o literaturze.

W Pradze oprócz wielu innych pism wychodzą dwie bardzo poważne publikacye, (miesięczniki) „Osveta", której redaktorem jest publicysta i dramaturg, jak również romansopisarz czeski pan Wacław Wlczek, i „Kvety" miesięcznik ilustrowany, więcej popularny, od pierwszego redagowany przez poetę zowiącego się Svetopułk Czech. Z zazdrością musimy patrzyć na rozwój tych więcej poważnych czasopism czeskich a zazdrość ta da się samemi cyframi usprawiedliwić. „Osveta" liczy około pięciu tysięcy prenumeratorów i rozwija się z niesłychanem powodzeniem już lat dwanaście. Pismo to, jedyne w Czechach, które zamieszcza w łamach swoich obszerniejsze krytyki i artykuły naukowe, odznacza się szczególną powagą i sumiennością.

Żeby dać lepsze pojęcie o sumienności i zabiegliwości pisma, muszę tu przytoczyć szczególniej jeden artykuł więcej nas obchodzący, mówiący o naszej komedyi i dramacie.

Dzielny tłomacz Krasińskiego, pan Kwapil, z niesłychaną prawdą określa nasze talenta dramatyczne, a rozpoczynając od Narzymskiego, wymienia po kolei wszystkich, aż do dramatu Czerwińskiego i Piotrowskiego. Charakterystyka ta jest przedewszystkiem bardzo zwięzła, uczciwa a co głównie niesłychanie trafna.

Lubowskiemu przyznaje krytyk niesłychany dar spostrzegawczy i trafne kreślenia charakterów, choć użala się na formę i sposób obrobienia. Toż samo odnosi się do Blizińskiego. Zalewskiemu przedewszystkiem przypisuje wiele scenicznego efektu, zarzuca jednak brak obserwacyi i prawdy. Za farsę i humoreskę podnosi Gawalewicza. Z dramaturgów zaś przedewszystkiem na pierwszy plan wysuwa Asnyka, Bełcikowskiego i Łętowskiego, któremu przyznając wiele cech bardzo charakterystycznych, jak religijność i silne uczucie, zarzuca nieprawdopodobieństwo niektórych charakterów. Nie mniej też podnosi jednoaktową sztukę Rzętkowskiego.

Wogóle „Osveta" jest pismem, które stara się o najrozleglejszy program. Każda znaczniejsza uroczystość znajduje tu w swoim czasie odpowiednią kartkę historyczną i dlatego w dwunastu rocznikach „Osvety" znajduje się mnóstwo rzeczy tyczących spraw polskich, z pewnem staraniem i sumiennością obrobionych.

„Kvety" istnieją dopiero rok czwarty ale o wiele popularniej są redagowane.

Pisałem już w pierwszej korespondencyi o dzienniku za centa. Dziś przy sposobności muszę znów go przypomnieć. W Pradze wychodzi jeden taki dziennik, na Morawii drugi, a wydawcy robią majątki, pomimo że „Morawskie Nowiny" są pismem ilustrowanem. Ale w Czechach oświata stoi bardzo wysoko! Każda wieśniaczka idąc do miasta z dużym koszem przytrokowanym na plecach czyta dziennik taki po drodze z zajęciem. Kucharz powracający z miasta z koszem na głowie, niesie w wolnem ręku zadrukowaną kartę, aby się z niej dowiedzieć, co słychać na świecie.

A u nas jakże do tego daleko!

Wogóle piśmiennictwo i dziennikarstwo w Czechach wpływa bardzo na rozwój umysłowy wszystkich warstw społecznych. Prawie wszystkie wsie czeskie, w szczególności też, które zachowały jeszcze wyznanie reformowane przez Hussa i jego następców, odznaczają się niesłychaną gorliwością czytania gazet.

Są wsie, w których znajdują się wszystkie polityczne, naukowe i beletrystyczne pisma i z zapałem bywają czytane. Każdy Czech ma pojęcie przynajmniej, co się wkoło niego dzieje; żyje i oddycha atmosferą polityczną, zna swoich przewódzców i ulubieńców narodu, a przedewszystkiem polityku je na swoją rękę.

Miło to być wieczorem w gospodzie wiejskiej, kiedy lud po pracy zagłębia się w gazetach: „Pokroku" lub „Narodnich listach" a potem stronnicy dwóch przeciwnych partyi, zaczynają się spierać o zamiary parlamentu i posłów, albo biegłych ich przewódzców. Ma się rozumieć argumentacya jednej i drugiej strony jest fałszywą, bo ani jedna, ani druga nie rozumie zamiarów, nie odgadnie planów, ani nawet nie doczyta się rzeczywistej prawdy. W każdym razie jest to tylko dowód żywotności narodu, który choć częstokroć fałszywie myśli, ale już myśli i kombinować potrafi.

Zawsze jednak literatura czeska niezmiernie się zbogaca nietylko własnemi samodzielnemi utworami, ale jeszcze i licznemi przekładami. Trudno mi tu wyliczać po kolei artykuł za artykułem, nadmienię tylko, że dziesięcioletnia praca panny Elizy Krasnohorskiej została pomyślnie uwieńczoną. „Pan Tadeusz" w tych dniach wyszedł z druku przetłomaczony na czeski język z niesłychaną pracą i staraniem.

*W. Cz.*

---

## KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

### O UBIORACH.

*1 października 1882 r.*

Zbliżająca się zima, wprowadza nas w nowy świat mody, wprawdzie nie całkiem odmienny od zeszłorocznego, a przecież nacechowany niejaką, właściwą sobie odrębnością. Wielkie magazyny nie urządziły jeszcze wystaw zimowych, a jednak z powodu napływu cudzoziemców do Paryża, zebrały już na próbę wszelkiego rodzaju nowości, które niebawem rozbiegną się na wszystkie strony świata.

Panie Kuhnke, jak zwykle o tej porze, przybyły już po nowe kapelusze, okrywki i modele sukien. Widzieliśmy te piękne zbiory i opiszemy je kolejno, zaczynamy od kapeluszy.

Wielka rozmaitość panuje w kapeluszach tegorocznych; do teatru i na wizyty, przyjęte bardzo małe, do wyjścia na ulicę, rozmiar ich znacznie powiększony, okrągłe zaś wogólności wielkie, główka u nich wysoka, rondo szerokie, zazwyczaj podniesione w górę z jednego boku.

Tak jedne jak drugie, nasuwają się znacznie na przód głowy, co odpowiada przyjętej modzie loczków lub strzępek z włosów, rozrzuconych nad czołem.

Kwiatów nie widać prawie na kapeluszach, zastąpiły je pióra strusie, kapłonie, lub całkowite ptaki; te ostatnie przyjęte głównie do okrągłych. To jeszcze stanowi nowość tegoroczną, że kolorowe kapelusze przeważają znacznie nad czarnemi. Kolor ich zazwyczaj ciemny, oliwkowy, brązowy w rozmaitych odcieniach, ciemno *caroubier*, a szczególniej, szafirowo popielatawy, zwany *bleu electrique.* Moda dzisiejsza nie wymaga koniecznie, aby kolor kapelusza zastosowany był ściśle do koloru sukni, co ułatwia ubranie.

Szarfy długie, szerokie, z ciężkiej wstążki *gros grin*, przyjęte ogólnie; obok tych widać również i atłasowe szarfy. Woalki najmodniejsze w kolorze odpowiednim do kapelusza, haftowane szenelą w drobny rzucik, lub z gazy *Donna Marya*, przerabiane w muszki.

Po tych ogólnych uwagach, dajemy szczegółowy opis tych kapeluszy.

Pierwszy aksamitny, w kolorze *bleu electrique.* Rondo namarszczone tworzy trzy podwójne fal-

banki. Główka płaska, pochylona do tyłu głowy, pomiędzy nią a rondem, z jednej strony idzie riusza aksamitna, z drugiej pęk piór strusich tegoż koloru. Wstążki do wiązania szerokie *gros grin.*

Drugi kapelusz, w kolorze mchu, *mousse.* Wkoło ronda wypuszczona podwójna falbanka aksamitna, nad nią płaska kokarda alzacka, z takiegoż aksamitu. Z boku pęczek piór strusich. Pod rondem przeciągnięty *en diademe* wałek aksamitny, na nim mała kokarda, przepięta pączkiem róży mchowej. Szarfy do wiązania *gros grin.*

Trzeci strojniejszy od poprzednich, aksamitny w kolorze ciemno pąsowym *caroubier.* Główka przyfałdowana spada na warkocz. Rondko całkiem przysłonięte czarną błądyną hiszpańską spuszczoną cokolwiek nad czoło. Pod spodem idzie dyadem z takiegoż aksamitu. Na karczek rzucona również błądyna hiszpańska, przypięta broszą dżetową.

Druga brosza przytwierdza błądynę nad czołem. Końce do wiązania z szerokiej wstążki.

Czwarty kapelusz czarny aksamitny, cały marszczony równie jak poprzednie, z podwójną falbanką wypuszczoną od ronda. Główka z jednej strony ubrana puklami ze wstążki gros grin, z drugiej pękiem czarnych piór strusich. Szarfy do wiązania długie i szerokie.

Przejdźmy teraz do okrągłych kapeluszy, w których większą jeszcze spostrzegamy rozmaitość. Niektóre z nich aksamitne, więcej jednak widzimy kastorowych, w różnych ciemnych kolorach, przybranych aksamitem. Oto cały szereg kapelusików nabytych na magazyn pań Kuhnke.

Pierwszy tyrolski, w kolorze brązowym *loutre,* główka okrągła, szpiczasta, rondo z obu stron podniesione. Wkoło główki plisowany aksamit tegoż koloru, przepięty w tyle broszą złotą. Od przodu do boku wpięty płasko ptak w trzech kolorach: oliwkowym, złotym i *caroubier.*

Drugi kapelusik także brązowy, rondo z jednej strony odwinięte. Główka opasana dwa razy wstążką *gros grin,* z tyłu spada kokarda z długiemi końcami. Od przodu wpięty siwy gołąbek z zieloną szyjką, główka na dół spuszczona, skrzydełka podniesione do góry.

Trzeci kapelusz oliwkowy kastorowy, podbity aksamitem. Z boku trzy pukle aksamitne, z drugiej strony ptak tegoż koloru, z główką i długiemi piórkami.

Czwarty kastorowy, w kolorze *bleu electrique,* opasany trzy razy wstążką, spiętą w tyle na sprzączkę. Całą ozdobę stanowi długie pióro strusie tegoż koloru.

Piąty kapelusz czarny kastorowy. Rondo szerokie, z jednej strony podniesione w górę, podbite aksamitem czarnym. Główka dosyć wysoka, opasana aksamitem aż do góry. Z przodu wpięty wielki ptak wodny, w kolorze popielato szarym. Długi dziób zwrócony do ronda, długie nóżki, wyciągnięte na karczek.

Szósta pasterka aksamitna czarna, rondko równe bez odwinięcia, główka średniej wielkości, opasana długą szarfą koronkową, która może służyć do związania pod brodą. Z wierzchu wpięte dwa białe gołąbki.

Siódma pasterka także aksamitna czarna, objęta materyą *gros grin,* opasana dwa razy także wstążką; w tyle spadają długie pukle i końce. Rondo podniesione z lewego boku, na podpięciu wielka kokarda aksamitna, ozdobiona pączkiem róży.

Oprócz tych gotowych modelów, uważaliśmy mnóstwo piór do ubrania okrągłych kapeluszy, między temi ciemne nakrapiane żywemi kolorami, *caroubier, złotym, szmaragdowym* i t. p.

---

Powiedzmy teraz słówko o płaszczykach jesiennych. Noszą je wogólności długie, wcięte cokolwiek do stanu, poniżej przyfałdowane w tyle. Materyał na nie miękki, ciepły, w kolorze bądź czarnym, bądź też ciemno oliwkowym, wydrowym i t. p.

Ozdobę ich stanowi obłożenie z pluszu w prążki lub w karpią łuszczkę.

Dla młodych osób przyjęte powszechnie paletoty do figury, w rodzaju tużurków, lub też kaftaniki huzarskie, szamerowane pletnią, albo wyszywane sutaszem.

---

W kołnierzykach wielka panuje rozmaitość, to tylko stanowi ogólną ich cechę, że wszystkie wykładają się prosto na stojący kołnierz u stanika. W razie gdyby stanik nie miał kołnierza, można go zastąpić podwleczeniem ze wstążki. Do niektórych dodają w górę wąziuchną fryzkę z *crèpe lisse* lub przymarszczonej koroneczki. Oto kołnierzyki nabyte na magazyn pań Kuhnke:

*Col oficier,* koronkowy, podwleczony wstążką blado różową. Z przodu trzy razy spada koronka nafałdowana, tworząc jakby potrójny wachlarz.

Inny także koronkowy podwleczony wstążką blado niebieską. Z tyłu spadają na plecy trzy liście ze wstążki otoczone koronką, tworzą razem płaski kapturek. Z przodu nagarnirowana koronka przepięta dwoma niebieskiemi kokardkami.

Trzeci kołnierzyk koronkowy, również wyłożony, ale przyfałdowany płasko w odstępach na wstążce blado różowej. Przód ułożony w wachlarz przepięty dwoma kokardkami ze wstążki *gros grin.*

Czwarty muszlinowy haftowany, u spodu obszyty koronką szeroką na trzy palce. Z przodu podwójny wachlarz z plisowanego muszlinu, objęty stosowną koronką.

Piąty kołnierzyk koronkowy odwinięty, od dołu nagarnirowana szeroka kryza, spadająca na stanik. Pod spód przechodzi wstążka *gros grin* blado niebieska, związana z przodu na kokardę.

Szósty także koronkowy odwinięty na wstążce blado różowej, u dołu namarszczona lekko druga koronka. Z przodu wstążka przeciągnięta wzdłuż stanu, na niej naszyte w odstępach trzy rozety z koronki.

Mankiety zawsze odpowiednie do kołnierzyków, odwijają się na rękaw.

---

# Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

---

*** Dzięki niebu coraz częściej objawiają się w społeczeństwie naszem gorliwe usiłowania i dążności o dobro ogółu, — świeżym tego dowodem jest nowo otworzony zakład filantropijny przy ulicy Nowy Świat. Celem tego zakładu jest udzielanie ubogim dziewczętom żyjącym z pracy rąk, elementarnej nauki, tak niezbędnej w każdym zawodzie. W zakładzie tym nauka wykłada się w dnie codziennie, od godziny 7-mej do 9-tej wieczorem, aby ubogie dziewczęta cały dzień zajęte pracą, mogły po jej ukończeniu przychodzić na lekcye; w sobotę nie ma lekcyj, a w niedzielę od 9-tej do 10-tej rano. Szkoła dzieli się na trzy oddziały, odpowiadające usposobieniu uczenic i tylko posiadające choćby początki czytania i pisania, mogą być przyjęte. Zamożniejsze same kupują sobie książki i materyały piśmienne, uboższym darmo dostarcza ich zakład, a nadto wszystkie bez wyjątku dostają codziennie w lecie szklankę mleka, w porze zimowej szklankę herbaty i dwie bułki.

Widać biedne robotnice gorliwie pragną się uczyć, albowiem zaledwie rozeszła się wieść o otwarciu tej szkoły, niebawem wszystkie w niej miejsca zostały zajęte i wiele pracownic musiały odejść ze smutkiem, zawiedzione w swych nadziejach. Najliczniej cisną się do nauki pracownice igły. — Jeszcze druga podobna szkoła ma być otwartą w innej dzielnicy miasta.

Najżywsze uznanie należy się osobom, którym zawdzięczamy istniejącą już szkołę wieczorną — jednak pozwalamy sobie zwrócić ich uwagę co do udzielania w niej początków języka francuzkiego. Nie należymy bynajmniej do powstających zawzięcie na uczenie się języków obcych, ale i nauka aby była pożyteczną musi być gruntowną, a nadto mniej więcej zastosowaną do położenia osoby. W takiej szkole wieczornej, przy największej pilności i uczących i uczennic, ostatnie mogą co najwięcej nauczyć się jako tako czytać, oraz pojedyńczych słówek i rzmówek, z czego żadnej nie mogą odnieść korzyści, a nadto wielu może przewrócić w głowach budząc zarozumiałość o swej wielkiej uczoności. Czyby więc nie lepiej czas przeznaczony na naukę początków języka francuzkiego, przeznaczyć na pożyteczniejszy przedmiot?

*** W jednym z początkowych N-rów „Kraju" czytamy ciekawy artykuł o położeniu Polaków w Anglii, w ciągu ostatniego pół wieku. Podajemy go w streszczeniu:

„Ślad polskości na ziemi angielskiej jest widoczny; osiedleni tu wychodźcy pojmując że jednostki odpadłe od narodowego korzenia, giną bez śladu jeżli nie połączą się węzłem wspólnej instytucyi, zaraz w początkach przybycia postarali się o założenie „Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski" które po dziśdzień istnieje pod tą nazwą. Założone było w r. 1832, a d. 25 lutego r. b. obchodziło 50-letnią rocznicę swego istnienia. Sekretarzem i duszą tego Towarzystwa jest od lat już wielu major Karol Szulczewski, czuwający nad jego bytem z bezgranicznem poświęceniem.

Początkowym celem założenia „Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski" było podtrzymywanie współczucia publiczności angielskiej i rozkrzewianie odnośnych wiadomości, — niezadługo jednak rozszerzono granice jego działalności, dołączając do niej cel dobroczynny. Wolne od stronniczych widoków tak angielskich jak polskich, Towarzystwo dopomagało każdemu nieszczęśliwemu rodakowi rzuconemu na ziemię angielską.— Towarzystwo składa się z prezesa i sześciu wiceprezesów należących do najznakomitszej arystokracyi angielskiej, z rady i z sekretarza. Pierwszym prezesem był Tomasz Campbell, wielki poeta, który w nieśmiertelnym poemacie, odmalował ostatnie chwile Kościuszki. Wokoło niego gromadziły się znakomitości angielskie wszystkich obozów. Dzięki wstawiennictwu tego komitetu,

parlament wyznaczył dla Towarzystwa stały zasiłek 10,000 f. ster. rocznie. Oprócz tego, powiększały fundusze Towarzystwa ofiary prywatne, dochody z balów, koncertów, loteryj i t. p. na ten cel urządzonych.

Gdy, jak się to zwykle dzieje, z upływem czasu, jeźli nie samo współczucie, to przynajmniej jego dowody mniej znacząco objawiać się zaczęły, Towarzystwo znalazło gorliwe i energiczne poparcie w nowym swoim prezesie, lordzie Dudley-Toutto-Stuart, który w ciągu sześciu lat burzliwej epoki r. 1840 był puklerzem i strażnikiem jego. To też należy mu się od nas nieograniczona wdzięczność. Za inicyatywą Towarzystwa zaczęło wychodzić pismo kwartalne poświęcone głównie przedmiotom bliżej lub dalej nas dotyczącym, inne liczne wydawnictwa wychodziły kosztem Wentworth Beaumont, prezesa towarzystwa po śmierci Campbella. Dzięki ofiarności publicznej angielskiej, Towarzystwo było w możności udzielać zapomogi rodakom potrzebującym wsparcia, dostarczać funduszu na wychowanie ich dzieci, oraz opłacać koszta podróży odpływających do Ameryki gdzie łatwiej znajdowali sposobność zapracowania na swe utrzymanie.

Gdy od r. 1857, z powodu zmniejszenia się liczby potrzebujących wsparcia, parlament angielski zaprzestał wyznaczać regularnych zasiłków, Towarzystwo znalazłoby się w trudnem położeniu, gdyby nie szlachetna ofiarność nieopuszczających go nigdy filantropów angielskich, a między innymi słynnej z olbrzymiego majątku, baronowej Burdett-Toutts. Dzięki ich poparciu, prze lat 50 swego istnienia, Towarzystwo mogło dopomagać każdemu cierpiącemu lub potrzebującemu wsparcia rodakowi.

W r. 1857 znajdowało się jeszcze w Anglii 546 rodaków naszych, ale liczba ta zmniejszała się ciągle. Obecnie jest już tam tylko 42 weteranów. Z tych 26 pobiera wsparcie od rządu angielskiego, 10 od Towarzystwa, 6 wsparcia nie potrzebuje. Oprócz nich przybywają tam przybysze z lat późniejszych i ogólna ich liczba wynosi 50 osób, rozproszonych po całej Anglii. Bilans „Towarzystwa literackiego przyjaciół Polski" za czas od 3 maja 1881 do 2 1882 r. wynosił jako dochód 279 f. szter., z tych 31 stałego dochodu a 248 z jednorazowych datków. W tymże czasie udzielono pomocy lekarskiej 259 osobom, zasiłków 168 i na pogrzeby czterech zmarłych.

*** Nareszcie i w Konstantynopolu zaczynają się pojawiać wydawnictwa literakie. Jeden z szambelanów sułtana, Osman Bey, powziął myśl założenia tamże drukarni aby rozpocząć w niej wydawnictwo główniejszych dzieł religijnych, historycznych i naukowych, będących wytworem cywilizacyi muzułmańskiej, wcale lub tylko w niedokładnych edycyach typograficznych znanych Europie. Obecnie Osman Bey, urzeczywistnił swój zamiar i rozpoczął wydawnictwa przez edycyą koranu, przeznaczoną do rozpowszechnienia między najuboższą ludnością po nader przystępnej cenie. Dalej, Osman zamierza wydawać ważniejsze dzieła historyczne arabskie i tureckie, zupełnie dotąd nieznane. W tej plejadzie znakomitości świata muzułmańskiego, jedno z najpierwszych miejsc zająćby powinny prace historyka arabskiego Eld-Halduna i tureckiego Hodja-Effendi — co nietylko współwyznawcom ich ale i oryentalistom całego świata wielką oddałoby przysługę.

*** Arabski dziennik „El Dżewaib" opisuje szczególniejsze zjawisko wulkaniczne, jakie miało miejsce na wyżynie zwanej Kara-Jaila, leżącej wśród pasma gór, w odległości trzech mil od Tarsu. Dnia 18 czerwca r. b. mieszkańcy posłyszeli nagle łoskot podziemny wzmagający się ciągle a nareszcie tak nadzwyczaj silny, że przestraszona ludność uciekła z chat w pole, aby pod gołem niebem oczekiwać katastrofy, strasznej w swych skutkach. Jakże niewysłowione przerażenie ogarnęło wszystkich, gdy spostrzeżono że cała ogromna wyżyna, jakby tajemniczą jakąś potęgą popychana w górę, podniosła się o 6 metrów nad dotychczasowy poziom, a następnie pękła wśród strasznego huku. W miejscu gdzie dotąd znajdowała się piękna łąka, utworzyła się głęboka czeluść, z której zaczęła buchać ciecz brudna, przesycona solą, z taką gwałtownością iż niemal w mgnieniu oka utworzyło się dość znaczne jezioro. Stojące w tej miejscowości dwie zagrody włościańskie, zostały zburzone i pochłonięte tak iż śladu nawet po nich nie zostało—zginęły w powodzi cuchnącej cieczy. Huk podziemny trwał nieustająco. Wszyscy niemal muzułmańscy mieszkańcy padali na kolana, błagając Allaha o zmiłowanie, w przekonaniu iż nadszedł dzień sądu ostatecznego. Duszące wyziewy z siarki zatruły powietrze na kilka mil dokoła, tak, że prawie niepodobna było oddychać. Zaledwie po upływie kilku godzin, podziemne siły przyrody, zaczęły powracać do równowagi. Wysłano niebawem z Tarsu rządową komisyę, która zaczęła niezwłocznie badać przyczyny i sprawdzać skutki zjawiska, lecz sprawdzono tylko, że ciecz podziemna ciągle jeszcze napływa. Ołowianka spuszczona do czeluści na głębokość 15 metrów, nie natrafiła jeszcze na dno. Późniejsze sprawozdania dzienników arabskich donoszą, iż przybór cieczy w czeluści trwał jeszcze przez ośm dni i że na miejscu zjawiska powstało wielkie jezioro słone, jak niegdyś na miejscu Sodomy i Gomory. W tymże samym czasie na wyspie Chios i w Smyrnie, miało miejsce dość silne trzęsienie ziemi.

## OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

*Ubranie spacerowe z krótkiem okryciem.* Okrycie to uszyte z bardzo mięsistego grubo kiprowanego jedwabnego materyału, ma kołnierz i szeroką patkę spinającą z tyłu rękawy dodane z aksamitu tego samego koloru; brzeg dolny oszyty szeroką frendzlą sznelową. Kapelusz filcowy wokoło główki otoczony cieniowanemi piórami.

*Ubranie spacerowe z długim płaszczykiem.* Płaszczyk formą długiego paletota z fałdą założoną pod spód od wcięcia stanu, odrobiony z gładkiego aksamitu i pięknej materyi jedwabnej, ma szerokie rękawy, które poniżej łokci są zmarszczone i przepięte szmuklerskiemi sznurami. Pod szyją kołnierz koronkowy tego co aksamit koloru. Kapotka aksamitna z fałdowaną główką, zdobna sznelowemi listkami.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

*Autorce piszącej pod nazwą Lotos.* Wierszyki nadesłane jako zalecające się piękną formą i polotem myśli prawdziwie z natchnienia płynącej, zostaną wydrukowane.

*Panu K. L. w R......* O przysłanych wierszach zawsze była odpowiedź udzieloną, te więc które nie były dotąd drukowane, widać że nie odpowiadały warunkom dla podobnych utworów ustanowionym. Jesienna piosenka ma swoje zalety ale i wady nie do usunięcia.

## Zawiadomienia.

Od redakcyi Słownika Geograficznego otrzymaliśmy następujące doniesienie:

Mamy zaszczyt zawiadomić, że na mocy kontraktu urzędowego, wydawnictwo „Słownika Geograficznego" przeszło na wyłączną własność Władysława Walewskiego. Skład Redakcyi pozostał ten sam i nadal pod kierunkiem Filipa Sulimierskiego, ul. S-to Krzyska Nr. 17, gdzie mieści się i Redakcya. Skład główny i kantor administracyi Słownika przeniesiony: ul. Długa 47, biuro adw. prz. Juliusza Walewskiego. Tamże adresować należy wszelkie przesyłki pieniężne i reklamacye, a nawet i artykuły.

Przypominamy przytem, iż według ogłoszeń kilkakrotnie już powtórzonych, od dnia 1-go lipca r. b. cena całego dzieła niniejszego została podniesioną

z rs. 30 na 48 (bez przesyłki)
„ 36 „ 58 (z przesyłką)

a to dlatego, że zamiast 5-ciu tomów, Słownik obejmuje tomów 8. Cena zeszytów i tomów pozostaje niezmienioną:

zeszyt 50 kop. bez przesyłki
tom 6 rubli „ „
zeszyt 60 kop. z przesyłką
tom 7 rs. 20 kop. „

Zeszyty wychodzą co miesiąc; 12 zeszytów składa I tom.

Adres do przesyłania pieniędzy i artykułów:
JULIUSZ WALEWSKI, Warszawa, ul. Długa Nr. 47.

Redakcya Słownika:
*Filip Sulimierski.*
*Bronisław Chlebowski.*
*Władysław Walewski.*



Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 22 Сентабря 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

**Dodatek.**

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 40, r. 1882.

# WALKI ŻYCIA.

## PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

Dzielna i nadzwyczaj pracowita dziewczyna, umiała własną gorliwością natchnąć trójkę służących zostających pod jej rozkazami, i jak najregularniej dwa razy na miesiąc wietrzono i trzepano przepyszne meble z epoki Ludwika XIV, rozstawione we wspaniałych apartamentach.

Gdy Brygida pootwiera okienice wielkich salonów i światło oświeci wspaniałe komnaty, możnaby mniemać że podniesiono kurtynę teatralną, ukazując zdumiewającą przepychem dekoracyę. Przepyszne gobeliny pokrywające ściany, przedstawiały dzieje Aleksandra Wielkiego. Okazałe złocone fotele, połyskiwały drogocennym genueńskim aksamitem. Niekiedy w drogocennych wielkich zwierciadłach weneckich odbijał się kwiatowy kobierzec, strumienie wody wyrzucane z wodotrysku i kawałek nieba. Brygida kręciła się ze szczotką i trzepaczką z piór, omiatała, porządkowała, a skończywszy zamykała okienice i artystyczne skarby pałacu znowu w zupełnej zostawały pogrążone ciemności.

Filip urządził sobie wielki gabinet, około ścian którego stały wielkie, wysokie szafy z książkami; chcąc dostać się do wyższych półek. trzeba było posługiwać się przenośnemi schodkami. W środku stało ogromne biuro założone papierami, na pozór niby rozrzuconemi w nieładzie. Na środku stołu stał okazały bronzowy kałamarz, na kominku prześliczny starożytny hebanowy zegar. Obok gabinetu była sala jadalna, w której stały dawne rzeźbione gruszkowe krzesła; na pułkach ustawiona była ciężka bogata zastawa srebrna, nigdy nie używana. Po za jadalnią salonik umeblowany zupełnie tegocześnie i niearystokratycznie; jedwabna popelina niebieska pokrywała ściany i meble; zegar bronzowy stał na rzeźbionej przybitej do ściany konsolce; ładny, różnobarwnem drzewem wykładany stoliczek damski i rozpoczęty haft leżący na niej, zdawały się oczekiwać powrotu Zuzanny. Na jednej ścianie wisiały dwa wielkie portrety pani i pana Derblay; podobieństwo doskonale było uchwycone, ale wykonanie wcale nieartystyczne.

Na pierwszem piętrze były dwa wielkie pokoje sypialne, oddzielone gabinetami, jeden Filipa, drugi Zuzanny. Pokój Filipa przedstawiał się poważnie i surowo. Ściany pokrywał wyciskany aksamit koloru Hawanna; meble i łóżko z czarnego drzewa; całą ozdobę pokoju stanowił piękny zbiór broni tegoczesnej, a wśród niej ładownica przestrzelona trzema kulami, była to pamiątka z Pont-Noyelles. Drugi, dziewiczy pokój, był świeży i wesoły jak jego mieszkanka. Biały muślin podbity błękitną materyą i przepinany różowemi kokardami, przysłaniał ściany. Meble lakowane biało, w błękitne żyłki; tu i owdzie porozstawiane śliczne cacka i graciki, tak pięknie zdobiące pokoje młodych dziewcząt. Okna wychodziły na wielkie aleje parku, gubiące się gdzieś w oddali; jakże mile mogłaby tu marzyć, gdyby marzenia miały dostęp do jej wesołej, swobodnej młodości.

Rozstawszy się z siostrą Filip, poprowadził pana Bachelin do swego pokoju. Domyślał się że notaryusz powracał z Beaulieu, i jak zwykle zakochani, pragnął dowiedzieć się wszelkich, czyto ważniejszych czy choćby najdrobniejszych szczegółów, jakie opowiadał mu zawsze pan Bachelin po każdych odwiedzinach w pałacu. Ale tego dnia jakoś notaryusz nie miał ochoty do rozmowy; usiadłszy w fotelu patrzył z roztargnieniem na Filipa stojącego przed nim jakby znak zapytania. Nie mogąc wytrzymać dłużej, p. Derblay zapytał otwarcie:

— Czy wspomniałeś pani de Beaulieu o mojej propozycyi zakończenia sporu przyjaznem porozumieniem?

— Ma się rozumiéć.

— No i cóż, czy uznała ją za możliwą.

— Najzupełniej.

Filip spojrzał z ukosa na notaryusza, który wziął się widocznie zbywać go tak lakonicznemi odpowiedziami. Po chwili namysłu, rzekł:

— Czy powiedziałeś także że najchętniej dozwalam polować w moich lasach?

— A toż na co? odrzekł zwolna, orzucając go szyderczem spojrzeniem.

— Jakto, na co? zawołał zdziwiony.

— Ma się rozumiéć; po cóż miałem występować z ofiarą którą sam w tak romantyczny sposób zaproponowałeś margrabiemu.

Filip zaczerwienił się i spuścił głowę zmięszany.

— A! więc pan de Beaulieu powiedział ci o naszem spotkaniu? rzekł nareszcie; ależ on nie wiedział z kim mówi.

— Powiedziałem mu to; czy miałem dodać iż jeśli tak hojnie zaopatrzyłeś jego podróżną torbę, to jedynie przez miłość dla jego siostry?

— Co też mówisz mój przyjacielu.

— A!... zapierasz się! zawołał żywo Bachelin; więc nie jesteś zakochany w pannie de Beaulieu?

— Dałby Bóg żeby tak było, bo ta miłość moja jest olbrzymiem szaleństwem, odrzekł Filip. Trzebaż było abym ja, człowiek pracy, tak zupełnie oddalony od świata, zakochał się w tej ślicznej i dumnej dziewczynie, która może właśnie tą dumą swoją mnie pociąga. Zobaczyłem ją poważną i zamyśloną, może zaniepokojoną, tak długiem rozłączeniem z narzeczonym... i pokochałem bezwiednie. Zapomniałem jak wielki przedział nas rozdziela, zapomniałem jak różne jest nasze pochodzenie... Nie zważając na głos rozumu, na rady podawane przez doświadczenie — słyszałem tylko nieprzeparty hymn miłości odzywający się w mem sercu. Ach! stary mój przyjacielu, wstydzę się sam przed sobą że nie mogę oprzéć się tej szalonej namiętności dającej mi kosztować niepojętych rozkoszy, czarującego upojenia... dających mi wszystko — wszystko prócz nadziei. Bo tu kończy się moje zaślepienie, gdyż daję ci słowo, że nie łudzę się najlżejszą nadzieją.

— No tak, nie łudzisz się nadzieją, to rzecz wiadoma, odrzekł z lekkiem uśmiechem Bachelin, ale to pewna że jesteś zakochany, temu przecież nie przeczysz, zatem dobrze zrobiłem że powiedziałem margrabinie...

— Powiedziałeś?... wyjąkał Filip zmięszany niewymownie, co powiedziałeś... i po co?

— No, to co ty myślisz i co wypowiedziałeś mi przed chwilą, równie namiętnie jak i przekonywająco.

Filip cofnął się o krok, zmarszczył brwi i przygryzając usta rzekł starając się zapanować nad sobą:

— Czyż prosiłem cię abyś robił margrabinie de Beaulieu podobne zwierzenia?

— Nie prosiłeś mnie, co prawda, odrzekł spokojnie Bachelin, ale trafiła mi się dobra sposobność i nie wahałem się z niej korzystać... Wierzaj mi, najlepiej odrazu wyjaśnić położenie i wiedziéć czego się trzymać. Byłbyś wahał się i odwlekał długie tygodnie a może i miesiące, brnąc coraz w swojej romantycznej przygodzie. Lepiej było od razu wypowiedziéć wszystko, choćby dumną odebrać odmowę... Oto powody skłaniające mnie do mówienia z margrabiną, czy ich nie uznajesz?

Filip milczał — zaledwie słyszał co mówił Bachelin; myśli plątały mu się w głowie; zdawało mu się że nagły jakiś wir uniósł go w niezmierzone przestrzenie. W uszach mu dzwoniło, mgła zasłaniała oczy, a w rozgorączkowanym jego mózgu, głos jakiś powtarzał mu z natężeniem jakby niewyraźne objawienie przeznaczenia: Klara! Klara!... a gdyby też została twoją!

Oprzytomniło go nareszcie zapytanie Bachelina:

— Czemuż wlepiasz we mnie wzrok tak nieruchomy? stoisz jak skamieniały.

Filip przesunął ręką po czole jakby chcąc odegnać przykre wrażenie, poczem odrzekł z bladym uśmiechem:

— Nie dziw mi się przyjacielu, ale zaniepokoiła mnie niespodziewana wiadomość że ryzykowałeś krok tak stanowczy, nie uprzedziwszy mnie o tem. Gdybym mógł był to przewidziéć, prosiłbym cię abyś tego nie czynił. Od dnia w którym przez chwilową słabość wyznałem ci miłość moją dla panny de Beaulieu, nie przestałem żałować tego. Widocznie serce jest za ciasne aby zawrzéć w sobie cały bezmiar miłości, wyznania mimowolnie cisną się do ust i powstrzymać ich niepodobna. Zaledwie ci się zwierzyłem, złudzenie się rozpierzchło i ukazał mi się cały ogrom bezlitośnej prawdy. Panna de Beaulieu nigdy nie zaszczyciła mnie ani jednem choćby przelotnem spojrzeniem, nie raczy wiedziéć że żyję na świecie. Jest margrabianką, jest bogatą, jest narzeczoną swego kuzyna i zostanie księżną de Bligny — trzeba być takim jak ja szaleńcem aby się w niej zakochać... To też zasługuję na karę i gotów jestem jej się poddać — zatem nie oszczędzaj mnie, przyjacielu, i powiedz wszystko.

— Dobrze; więc tedy powiem ci najpierw że obecnie panna de Beaulieu nie jest już bogatą, że prawdopodobnie nigdy nie zostanie księżną i że nigdy człowiek tak zacny i uczciwy jak ty nie miał większej szanszy zostania być przyjętym.

Usłyszawszy to, Filip zachwiał się i zbladł jak ściana. Z piersi jego wydarł się krzyk radości, ubezwładniony wzruszeniem, rzucił się na fotel.

— Ostrożnie, przyjacielu, nie rób mi nadziei, bo zbyt ciężko byłoby mi z nią się rozstać!

— Tak, daję ci nadzieję, odrzekł notaryusz, choć czyniąc to zdradzam tajemnicę rodziny de Beaulieu — ale na zachowaniu jej tak wiele ci zależy, iż mogę być pewny że nikt nie dowie się o niej od ciebie.

Filip ujął dłonie notaryusza, wlepiając w niego palące ciekawością spojrzenie.

— Skutkiem przegrania procesu w Anglii, rodzina de Beaulieu została przywiedziona do ruiny majątkowej — panna Klara tylko nie wie nic o tem Nie domyśla się także iż książę de Bligny ją opuścił i już od sześciu tygodni bawi w Paryżu. W dniu w którym nareszcie dowie się o zdradzie narzeczonego, straszna burza powstanie w jej sercu—wtedy będący w pobliżu, może wiele uzyskać, jeśli potrafi skorzystać ze sposobności.

— Zubożała i opuszczona! zawołał Filip, ona! dziewica tak pełna zalet, tak zachwycająca!... Ale cóż jej po majątku, wszakże sama jest nieocenionym skarbem, przewyższającym bogactwa całego świata.

— Zapewnie, to też przedstawiłem pani de Beaulieu najzupełniejszą twoją bezinteresowność.

— O tak! powiedz to jeszcze pani de Beaulieu, powiedz jej także...

Zatrzymał się nagłą uderzony myślą.

— Ale nie... nie mów o tem — jest dumna i wyniosła, już sama myśl zaciągnięcia jakichś obowiązków względem tego co pragnie zostać jej mężem, skłoniłaby ją do odrzucenia mego oświadczenia. Uprzedź tylko margrabinę, daj jej poznać moje zamiary i pobudki kierujące mojem postępowaniem. Nie dbam i nie przyjąłbym żadnego posagu, a o rękę panny de Beaulieu na klęczkach prosić będę. Ale niech nie wie o ich ruinie majątkowej, niech mniema że jest bogatą, aby mogła swobodnie przyjąć lub odrzucić moje oświadczenie, żadnemi nie krępowana względami. Jeżli trzeba, zapiszę jej cały mój majątek, i wtedy nawet nie ja jej ale ona mnie prawdziwą zrobi łaskę jeźli przyjąć go raczy.

— Ta! ta! ta! zawołał Bachelin skinieniem ręki przerywając Filipowi, przegalopowałeś, kochanku! Dobra to rzecz młodość i namiętność, ale i rozsądek ma swoje prawa. Na teraz chodzi tylko o przedstawienie cię w pałacu; w braku innych rozkoszy, nasycaj się widokiem swego bóstwa. Bądź spokojnym i poważnym, a nadewszystko ostrożnym, niech zachowanie twoje nie zdradza uczuć miotających sercem, aby zaraz na wstępie nie zwrócić na nie uwagi panny de Beaulieu. Zabierz z sobą siostrę, niemałą będzie ci pomocą; panie zajmą się nią a ty będziesz swobodniejszy.

— Kiedyż mam udać się do Beaulieu? zapytał mocno wzruszony Filip.

— Masz tobie, jeszcze nie idziesz a już się boisz... No, możesz udać się tam jutro; przez noc uspokoisz się i oswoisz z tą myślą, ochłoniesz ze wzruszenia i będziesz mógł przedstawić się korzystniej.

To powiedziawszy notaryusz wziął portfel i zwrócił się ku drzwiom, ale zatrzymując się na środku pokoju, zapytał:

— No, cóż? czy gniewasz się jeszcze że mówiłem z panią de Beaulieu bez twego pozwolenia?... Prawda i to że skutkiem zmięszania zapomniałeś zapytać co mi odpowiedziała.

— Ach! prawda, zawołał Filip, i twarz jego przed chwilą opromieniona radością, sposępniała nagle. Cóż powiedziała? dodał.

— To co powinna była odpowiedzieć w takim razie; a mianowicie: „że to całkiem zależyć będzie od panny Klary, i że nigdy i w żadnym razie nie chciałaby żadnego wywierać na nią nacisku". Jakoż nie ulega wątpliwości że nie matkę ale córkę zdobywać będzie trzeba — zatem odwagi i miej nadzieję — a teraz bywaj zdrów bo czas mi na obiad.

I wyszedł uściśnieniem dłoni pożegnawszy Filipa.

Zostawszy sam, Filip w głębokiej zatonął zadumie; rozważył spokojnie swoje położenie i przyznał sam że nie jest najgorszem. Zdradzona nikczemnie przez narzeczonego, panna de Beaulieu zniewolona będzie przynajmniej parę miesięcy zabawić jeszcze na wsi, aby ochłonąć i innym dać zapomnieć o doznanem upokorzeniu. Będzie więc mógł ją widywać, otaczać jak najdelikatniejszemi hołdami i może potrafi dokonać tego aby nie był jej niemiłym. Zuzanny po wakacyach nie odeśle już do klasztoru do Besançon; zatrzyma ją w domu gdyż wielką być mu może pomocą. Zostanie towarzyszką Klary, potrafi ją ująć swoją słodyczą i miłem obejściem, i powoli zbudzi w sercu margrabianki myśl o ukochanym swoim bracie.

Nieznacznie marzenie zaczynało przybierać pozór rzeczywistości. Widział obie młode dziewice przechadzające się w cieniach parku Pont-Avesnes; szły jakby dwie siostry trzymając się pod ręce, jedna wysoka i dumna, druga drobniutka i milutka. Wpatrywał się w ten urojony obraz nasycając się ich widokiem, gdy wtem pocałunek różanych ustek złożony na jego czole, rozproszył miłe marzenie.

— O czem tak myślisz Filipie? zapytała swym miłym głosem Zuzanna.

Nie odpowiadając spojrzał na nią z jakimś błogim uśmiechem.

— Nie chcesz mi powiedzieć? otóż załóżmy się że zgadnę. Oto, braciszku myślisz o ślicznej jasnowłosej dziewicy.

Zerwał się prędko i porywając jej rękę, zawołał marszcząc brwi.

— Zuzanno!

Zamilkł ujrzawszy jej figlarne spojrzenie i jakby nieco złośliwy uśmiech. Stał jakby osłupiały, zapytując sam siebie: jakiem jasnowidzeniem wiedziona, dziewczę to mogło tak wyczytać co się dzieje w jego duszy.

— Tak się zmięszałeś, braciszku drogi, rzekła tkliwie Zuzanna. Ależ nie trzeba na to zbyt wielkiej przenikliwości aby widzieć zmianę zaszłą w tobie od miesiąca, i poznać że serce twoje już nie do mnie wyłącznie należy. Ale bądź spokojny, mój jedyny, zanadto cię kocham abym mogła być zazdrośną, a jeźli niepokoję się widząc cię tak zadumanym i milczącym, to nie z obawy że odbierzesz mi cząstkę swych uczuć aby je oddać innej, ale dla tego iż lękam się abyś nie był narażony na smutki i troski. Ja wszystko tobie zawdzięczam, Filipie; gdy zostałam sierotą, otoczyłeś najtroskliwszą opieką moje dziecinne lata, wychowałeś mnie, dałeś staranną edukacyę, i dziś zdaje mi się że nietylko siostrą ale po części córką twoją jestem; to też tak gorąco pragnę twego szczęścia!... Kochaj i bądź szczęśliwy, a tem samem i ja będę jak najszczęśliwszą... Ale czy tylko jest na ziemi szczęście tak wielkie jakiego godzien jest człowiek tak jak ty doskonały?

Łzy zrosiły oczy przemysłowca; serdeczne słowa siostry oddziałały łagodząco na jego rozdraźnione nerwy; stał nieruchomy wpatrując się w twarz Zuzanny, rozjaśnioną tkliwym uśmiechem.

— Płaczesz, braciszku; powiedz czyż to tak smutna rzecz kochać?

— Zuziu, nie wspominaj nigdy o tem szaleństwie mojem, rzekł niepewnym głosem.

— I czemuż nazywasz to szaleństwem? Jestże kobieta któraby, poznawszy, nie pragnęła ci się podobać?... zapytała.

Poczem stanąwszy naprzeciw i wpatrując się w niego śmiało i z dziwną pewnością siebie mówiła:

— Bądź spokojny, jeźli trzeba będzie, powiem tej którą kochasz: Błądzisz pani wielce nie kochając mego brata, bo nie ma na świecie człowieka któryby mu dorównać zdołał—a mogę śmiało zapewnić cię o tem, bo ją znam bardzo dawno i bardzo dobrze. A będę tak wymowną iż niezawodnie ją przekonam, i sama wyciągnie do ciebie rękę i powie ukłoniwszy się pięknie: „Panie, siostra twoja z takiem uwielbieniem mówi o tobie iż nareszcie i mnie otworzyła oczy i poznałam twoje przymioty i zalety. Czy raczysz przyjąć moją rękę i zostać moim mężem? A ty wysłuchawszy jej słów, ukłonisz się uprzejmie i odpowiesz poważnie: Najchętniej jeźli taka wola pani." Wtedy ja dam wam uroczyste moje błogosławieństwo i będziecie bardzo, bardzo szczęśliwi!... Śmiejesz się,—więc jesteś pocieszony! zawołała klaszcząc w dłonie.

Ta pełna uroku żywość i wesołość młodej dziewczyny oddziałała uspokajająco na Filipa, rozpogodził czoło i spojrzał na nią z uśmiechem. Ucieszona wzięła go pod rękę mówiąc:

— Zanim nastąpi ślub twój, przejdźmy się jeszcze po ogrodzie.

IV.

Sześć miesięcy przedtem, wysiadłszy z pociągu który przywiózł go z Petersburga do Paryża, książę de Bligny zmęczony długą drogą, kazał się zawieść wprost do klubu. Nie miał własnego apartamentu, hotel ciotki był zamknięty, nie wahał się więc korzystać z przywileju członków klubu i stanął w jednym z pokoi przeznaczonych do ich rozporządzenia w razie potrzeby. Zamierzał nie więcej jak tydzień zabawić w Paryżu, i załatwiwszy interesa w ministerstwie, porobić potrzebne zakupy i pojechać do Beaulieu.

Rok już blizko nie był we Francyi. Żył w wielkim świecie północnej stolicy tem sztucznem życiem paryzkiem, uważanem za granicą za najwyższy dobry ton, a które tak jest podobne do wielkoświatowego życia w Paryżu, jak kamyk podniesiony na drodze do dyamentu z Wisapoor.

Przejął bardzo prędko wyrafinowane skażenie obyczajów; upodobał sobie tę mięszaninę zniewieściałości azyatyckiej z działalnością europejską. Wielkie damy pociągały go jakimś zagadkowym urokiem; zapragnął zbadać tajemnicę tych uśmiechniętych Sfinksów z wyzywającemi oczami i groźnemi pazurkami. Piękny, dobrze wychowany, znakomitego rodu, był więc nietylko poszukiwany ale rozchwytywany wszędzie. Powoli w sercu jego zatarł się obraz narzeczonej, jak owe piękne pastele Latour'a, których farby blędną z czasem.

Z początku, oddalony od Klary, uważał się jakby na wygnaniu, i zamierzał wieść surowe i odosobnione życie, ale jak tu tego dokazać będąc najmłodszym i najładniejszym z przydzielonych do ambasady francuzkiej i przedmiotem najuprzejmiejszych grzeczności i zaproszeń. Po tygodniu klauzurowego niemal odosobnienia, Gaston zniewolony był ukazać się na większem przyjęciu u swego ambasadora; przywdział więc ubiór wieczorowy i po raz pierwszy znalazł się wśród wielkiego petersburskiego świata.

Od pewnego zaraz wieczora został ulubieńcem

miejscowej arystokracyi; wyróżniano go zaszczytnie w salonach, a przedstawiony u dworu i tam nader łaskawie był przyjmowany. W nader krótkim czasie młody dyplomata zajął ważne bardzo stanowisko; zwierzchnicy jego nie zazdroszcząc mu powodzenia, umieli przezornie wyzyskiwać je do swoich celów.

Młody książę był eleganckim salonowcem i typem wykwintnego światowego młodzieńca, ale zato bardzo złym politykiem; rzucił się w wir zabaw i rozkoszy ale nie umiał intrygować w zamierzonym celu, i przekonano się wkrótce że salony petersburskie zdobyły sobie świetnego gościa, ale Francya nie znalazła w nim pożytecznego członka ambasady. Płochy, lekkomyślny, przelatujący z kwiatka na kwiatek, książę de Bligny nie był pracowitą pszczołą wyrabiającą dobry miód, stał się świetną osą, uganiającą się za zdobyczą, połyskując na słońcu swą złoconą szatą. W przeciągu kilku tygodni oswoił się doskonale z hulaszczem życiem; silne jego nerwy wytrzymywały z łatwością najwyuzdańsze wybryki. Dotrzymywał placu najsłynniejszym pijakom — a wiadomo jak tam piją. W klubie szlacheckim grał partyę bakkarata która stała się legendowem podaniem, gdyż trwała trzy dni i trzy noce, w ciągu których i on i przeciwnicy jego tylko dla posiłku chwilowo opuszczali zielony stolik. Wyszedł zwycięzcą, dzięki nie tyle niezmiennemu szczęściu, jak skutkiem znużenia przeciwników, którzy snem zmożeni, padli na dywan. Pozyskał względy słynnnej primadony, która odrzucała dla niego najświetniejsze ofiary, i porzucił ją nareszcie znudzony jej wiernością.

Pani de Beaulieu miała słuszność. Gaston był bohaterem zimowego sezonu — gwiazdą uświetniającą przyjęcia i bale. Dawano mu do zrozumienia że może starać się o najbogatsze panny — odrzucał wszelkie najświetniejsze propozycye, i może dla tego właśnie więcej jeszcze ubiegano się o niego.

Gaston de Bligny widocznie odziedziczył po przodkach przesyt i nudy; po sześciu miesiącach hulaszczego życia był niem tak znudzony, iż obawiając się spleenu szukał rozrywki w grze hazardowej. Od pierwszego zaraz razu uczuł że rozbudzona namiętność do gry, przeniknęła go aż do szpiku kości. Szczęście sprzyjało mu nieprzerwanie—zdawałoby się iż przyszedł na świat aby zwyciężać i zdobywać. Co ranek wracał do siebie obciążony resztkami mienia swych przeciwników, usta jego spieczone były od trawiącej go gorączki, sinawa bladość pokrywała twarz, czuł jakby żelazną obręcz ściskającą mu głowę. Kładł się gdy zaczynał już świtać ciemny i posępny dzień zimowy, a wiadomo że w tej porze w Rossyi jutrzenka podobna jest do zmroku. Znużony spał gorączkowym snem do godziny czwartej po południu, wstawał gdy już gaz zapalano w mieście. Jakby na przekór całemu światu żył jakiemś życiem przewrotnem — przez dwa lata prawie nie widział słońca. Był to rodzaj nocnego motyla. Ładna i pociągająca twarz jego dopokąd żył w łonie rodziny, przybrała teraz cierpki i niemiły wyraz; wyciągnięte rysy zachowały jeszcze regularne zarysy, ale świeżość i urok młodości zniknęły bez śladu. Z twarzy można było wyczytać jakie prowadzi życie. Ciemne jego nieco wijące się włosy, które kazał nizko przystrzydz nad czołem, zaczęły widocznie przerzadzać się na skroniach; niebieskie oczy pobladły i zapadły się głęboko. Rozkiełznane życie coraz widoczniejsze odbijało piętno w całej jego postaci.

Ciotka zaledwieby go teraz poznała; nic nie podobny był teraz do owego łagodnego i nieśmiałego młodzieńca, spędzającego całe wieczory w salonie starego hotelu w towarzystwie margrabiny i Klary. Wtedy to panna de Beaulieu, mająca dużo stanowczości i męzkości w charakterze, przezwała go żartem panną Gastonem. Obecnie nie pozostało w nim nic młodocianego — stał się jak najniebezpieczniejszym mężczyzną. Odkrył w sobie nieprzebrane zasoby wrodzonego sceptycyzmu — nie wierzył w nic, nie uznawał innych praw nad dogadzanie najwyuzdańszym zachciankom. Skłonności odziedziczone po ojcu, uśpione wpływem spokojnego życia rodzinnego, zbudziły się do życia z niepohamowaną siłą; słowem stał się wiernym przedstawicielem swych przodków słynnych z rozpusty i rozwiązłych obyczajów od czasu Henryka III.

Pomimo delikatnej budowy, natura obdarzyła go olbrzymią siłą żywotną. Jak owi zniewieściali i apatyczni dawni panowie, smarujący sobie twarz i ręce różnemi kosmetykami, którzy woleli przyzywać paziów niż schylić się samemu dla podniesienia upadłej chustki lub jakiejś fraszki, i kazali się nosić w lektykach aby się nie trudzić konną jazdą, a jednak w razie wojny szarżowali śmiało i jak szaleni rzucali się w wir bitwy, i pomimo że sto funtów żelaza dźwigali na sobie, dokazywali cudów waleczności,—tak i Gaston który za nic w świecie nie chciał przejść piechotą kilometra drogi, choćby dla najwznioślejszego celu, polował całe dnie, fechtował się przez długie godziny, tak iż najsilniejsi nie dotrzymywali mu placu.

Grał namiętnie ale na pozór spokojnie; zdawało się że siłą woli przykuwa do siebie szczęście, gdyż wygrywał zawsze. Przez lat dwa fortuna obchodziła się z nim jak z rozpieszczonem dzieckiem— to też powszechnie nazywano go „szczęśliwym Gastonem". Gdyby nie to, że uczciwość jego w grze nie dopuszczała podejrzenia, posądzanoby go że pomaga szczęściu.

Szczątki odziedziczonego po ojcu mienia i znaczne sumy jakie wygrywał w karty, dozwalały mu żyć na wysoką skalę. Miał wspaniały apartament urządzony zbytkownie, przepyszne konie i powozy. Jak tylko ukazywał się w klubie szlacheckim, gra inną przybierała postać, wszyscy czuli że teraz dopiero rozpocznie się ona na dobre, szalone stawki padały na zielony stolik.

Wychodząc po skończonem przedstawieniu Opery lub Teatru francuzkiego, albo z domu w którym przepędził wieczór, siadał do sanek i kazał się wieźć na Newski Prospekt; owinięty w puszyste futra, lubił aby lodowaty wiatr nocny chłodził twarz jego.

Tym sposobem wzmacniał nerwy przygotowując się do gry; około drugiej przybywał do klubu, gdzie zastawał roznamiętnionych już graczy. Siadał do stolika zimny i spokojny; czy wygrywał czy przegrywał, żaden muskuł jego twarzy ani zadrgał. Widział jak inni gracze uciekają się do najdziwaczniejszych przesądów, on grał zimno i poważnie licząc tylko na siebie i pogardliwie wzruszając ramionami.

Bywał ciągle w wielkim świecie i miał niezwykłe szczęście do kobiet, choć zanadto wielkim był egoistą aby mógł kochać. Nie chciał jednak przywodzić do rozpaczy piękności zaszczycających go swemi względami, bojąc się łez i wyrzutów ktorych cierpiéć nie mógł.

Raz tylko pochlebiał sobie że zakochał się na prawdę — ale przywidziało mu się to tylko. Zakochała się w nim hrabina W., jedna z dam należących do najpierwszej arystokracyi, ale mąż jej był tak zazdrośny i tak bacznie czuwał i śledził żonę, iż nietylko widywać się inaczej jak na zebraniach i balach, ale nawet pisywać do siebie nie mogli. Podniecony zazdrością męża, Gaston nie chciał dać za wygraną i nareszcie obmyślili sposób podejścia jego czujności. Zawiadomił o tem hrabiego wierny sługa któremu polecił śledzić hrabinę — ale dowodu dostarczyć nie mógł. Przytłumiając miotającą nim wściekłość, hrabia umiał zachować spokój w obec żony, ale postanowił wyzwać księcia de Bligny. W tym celu udał się do klubu i trzymał bank. Gdy talia się skończyła i Gaston zebrał po stasowaniu, hrabia powiedział grubiańsko że grać nie będzie; książę zimno zażądał wytłomaczenia, a gdy go hrabia odmówił, wyzwał go na pojedynek.

Jednozgodnie potępiono zachowanie się hrabiego — on jednak był zadowolniony doszedłszy zamierzonego celu. Pojedynek miał miejsce nazajutrz w małym lasku brzozowym; bili się o dwadzieścia kroków. Gaston zanadto cenił swoje życie, aby miał okazać się względnym dla męża kobiety którą niby kochał; za danym znakiem strzelił, kula trafiła w bok przeciwnika. Hrabia padł, krew z rany zafarbowała śnieg; siłą woli uniósł się jednak i przyklękając na jednem kolanie, wsparł się na niem łokciem i dał ognia celując do Gastona; — ale ręka jego drżała skutkiem upływu krwi, i lekko tylko zranił go w ramię.

Pomimo ciężkiej rany, hrabia nie umarł; co do Gastona, ten po sześciu tygodniach zdrów zupełnie, wrócił do dawnego trybu życia. Ale dziwna rzecz! Zdawać się mogło że kula hrabiego zabiła nadzwyczajne szczęście Gastona, gdyż od czasu pojedynku przegrywał ciągle. Czyżby krew przelana odebrała mu dotychczasową pewność siebie? gdyż teraz nie grał już tak zimno jak dawniej, miotały nim obawa i niepokój jakich doznają gracze którym karta nie idzie. Teraz nie rzucał już stawki z miną zwycięzcy, nie górował nad przeciwnikami niczem niezachwianym spokojem. Ręce jego poruszały się nerwowo, palce bezwiednie bębniły po stole. Bladł i czerwienił się na przemian; oczy zapadały głęboko; piękne zęby przygryzały usta. Zapominał się i unosił; stracił pewność siebie posuwaną dawniej aż do zuchwalstwa, a gdy nad ranem opuszczał salon gry, ubiór jego był w nieładzie, rozwiązany krawat odsłaniał szyję, bielizna była zmięta.

Stopień po stopniu zstępował z tych wyżyn powodzenia do których posuwał się jakby tryumfalnym pochodem. Wygrane pieniądze roztrwonił nadzwyczaj prędko; nie posiadając nic, zmuszony był uciekać się do pożyczek; potrzebując teraz innych, boleśnie uczuł tę zmianę położenia. Dotąd rozkoszował się tem że jest jakby królem złoconych hulaków; uznawali w nim mistrza i przewodził wszystkim. Pochlebiało to jego dumie — aż tu piedestał, na którego szczycie stał dumny z podniesioną głową, runął w jednej chwili—jak tylko przestał wygrywać — dla graczy istnieć przestał, wchodzącego do klubu nie witano pełnem poszanowania milczeniem. Ten i ów podawał mu jeszcze rękę jakby od niechcenia, ale nie przerywano gry, nie lękano go się — nikł w tłumie obojętnych.

A jednak namiętność jego do gry nigdy nie była równie gwałtowną i niepohamowaną jak właśnie obecnie. Grał wściekłym jakimś uniesiony szałem, w ciągu jednej nocy wygrywał i przegrywał ogromne sumy. Nie był to już ów doskonały jeździec hamujący i kierujący swym wierzchowcem, ale szaleniec dający się unieść galopem sprawiającym zawrót głowy, który z pewnością prędzej kark skręci, niż dopnie zamierzonego celu. Nie umiał korzystać z powracającej chwilami szansy, grał jak bezprzytomny i przegrywał niebawem co wygrał.

Ambasador francuzki ocalił go od nieuchronnej katastrofy, wysełając go z missyą rządową do Pa-

ryża. Pojedynek z hrabią W. złe bardzo wywarł wrażenie; dyplomata uznał stosownem wydalić czasowo młodego księcia z Petersbuga, i dla tego dał mu urlop na trzy miesiące. Bligny przyjął z radością urlop o który sam prosić nie śmiał uniesiony miłością własną, aby się nie zdawało że ucieka z pola walki. Czuł się nadzwyczaj znużonym, pragnął na czas jakiś usunąć się z widowni, mieć czas do namysłu i ułożenia planu dalszego postępowania.

Z ogromnych sum wygranych w karty, zdołał zebrać zaledwie 50,000 fr. Ze zmianą położenia, zmieniły się nagle myśli jego i pojęcia. Wśród rozkiełzanego życia jakie prowadził, ani pomyślał o Klarze—teraz obraz narzeczonej stawał mu przed oczami. Widział jakby przez mgłę miły i cichy salonik w pałacyku de Beaulieu; lampa rzucała łagodne światło, Klara siedziała z jakąś robótką, światło łamało się w jej jasnych lśniących włosach. Czekała na niego cierpliwie; może nieraz pierś jej ciężkiem unosiła się westchnieniem. W takich chwilach kochał ją znowu i przysięgał sobie porzucić tak gorączkowe życie, dzięki któremu zakosztował tak palących rozkoszy, ale zarazem i tak ciężkich utrapień.

Myślał sobie iż choć roztrwonił szczątki pozostałego po ojcu majątku, to przecież panna de Beaulieu jest bogatą, posag jej zapewnia 100,000 fr. rocznego dochodu, a ten wystarczy młodemu małżeństwu do urządzenia się odpowiednio do zajmowanego w świecie stanowiska. W Paryżu utrzymanie jest o wiele mniej kosztowne jak w Petersburgu — a potem wszakże postanawia sobie uczynić stanowczy rozbrat z hulaszczem życiem. Dla oszczędności sześć miesięcy mieszkać będą na wsi, co dozwoli im spędzać zimę w Paryżu, bywać w świecie i czasem przyjmować u siebie.

Myśli te odradzały go, czuł się znów serdecznym i dobrym — nasycał się z rozkoszą tym zwrotem do pierwszych młodocianych marzeń. Przez całą drogę snuł błogie na przyszłość projekta — a gdy nareszcie pociąg stanął w oszklonym dworcu Północnym, wyskoczył z niego lekko radośnie witając Paryż, zdala od którego serce i umysł jego na tak złe zeszły drogi.

Było to wieczorem. Z dziecięcą radością przyglądał się z powozu nieskończonym szeregom beków gazowych oświetlających ulicę Lafayette'a. Ogarnął go ruch i gwar wielkiego miasta; zdawało mu się że chód przechodzących odznacza się niezwykłym ożywieniem. Powozy przesuwały się w tę i ową stronę. Minąwszy parę ulic i przedmieście Montmartre a nakoniec ulicę Helder'a, znalazł się na bulwarach.

Uczuł jakby zawrot głowy. Powozy jechały rzędem dążąc do Opery. Przez ich szyby widzieć mógł piękne i wykwintne panie, w eleganckich strojach. Oświetlenie elektryczne rzucało białawe światło na fasadę teatru. Niesłychany ruch panował w miejscu gdzie krzyżuje się kilka ulic i bulwary. Wystawy sklepowe promieniały blaskiem, chodniki wydawały się czarne od natłoku zalegających je przechodniów. Słowem był to czarodziejski obraz jaki Paryż przedstawia w nocy, w całej swej wielkiej, przerażającej świetności.

Fiakr zawrócił w ulicę *Pokoju* i za kilka minut Gaston wysiadł przed klubem, osołomiony wrzawą wielkiego miasta; w uszach tętniał mu jeszcze denerwujący odgłos wagonów sunących po szynach; oczy jego znużone były olśniewającem światłem. Zmęczony podróżą, poszedł niebawem do przygotowanego dlań pokoju i twardym snem dospał do rana.

Nie był dość długo oddalonym od Paryża, aby mógł zapomnieć paryzkich zwyczajów—gdy tylko wyszedł na bulwary, w jednej chwili opadł z niego pokost północny—był znowu czystym Paryżaninem od stóp do głowy. Jednak przez dwa dni zostawał pod wpływem upojenia jakie Paryż wywiera. Spacerował po polach Elizejskich i po lasku Bulońskim; chodził po głównych ulicach, radując się ze spotkania znajomych, z którymi zamieniał ukłony i uściśnienia dłoni. Cieszył się wszystkiem, wszystko podziwiał i uwielbiał, jak gdyby widział to poraz pierwszy. Od chwili opuszczenia Północy czuł się jakby wyzwolonym; zdawało mu się iż wyrwał się z niewoli i może oddychać swobodnie.

W trzy dni załatwił w ministerstwie zlecenia dane mu przez ambasadora, i postanowił wyjechać do Beaulieu w końcu tygodnia. Chciał zrobić niespodziankę margrabinie i Klarze, i zawczasu cieszył się ich zadziwieniem i okrzykiem radości z jakim go powitają. Za nic w świecie nie byłby się wyrzekł uciechy niespodziewanego do nich przybycia.

Idąc ulicą *Pokoju* wstąpił do znanego sobie jubilera i kupił bogaty pierścień zaręczynowy, z wielkim szafirem otoczonym brylantami, w prześlicznej, artystycznie wykonanej oprawie. Oczami wyobraźni widział się już ofiarującym go Klarze, w pudełeczku z białego aksamitu, zdobnem herbem ksiąząt de Bligny. Ona otwiera je ze słodkim uśmiechem i podaje mu aby sam włożył go na jej śliczny różowy paluszek. Odtąd stanowczo zostanie jej mężem, pierścionek ten stanowi pierwsze ogniwo łańcucha mającego połączyć ich na zawsze.

W przeddzień wyjazdu, wracając z teatru, książę widział że zebrani w klubie byli więcej ożywieni, większy ruch panował niż zwykle. Na uczynione zapytanie, odpowiedziano mu, że ten niezwykły ruch gwar i oświetlenie, spowodowane są nadzwyczajnem przedstawieniem mającem mieć miejsce w sali balowej. Zebrała się wyborowa publiczność, aby słyszeć *Wychowanie księżniczki*, operetkę w dwóch aktach, napisaną przez dwóch współpracowników wielkim obdarzonych talentem i należących do najwyższego towarzystwa. Libretto napisał książę de Ferras, muzykę podłożył Juljusz de Frélan.

Obsadzenie ról było znakomite; podjęli się ich najpierwsi artyści i artystki i paru amatorów—obiecywano sobie świetne powodzenie. Wszyscy jednocześnie biegli do sali, aby zająć lepsze miejsca; książę oddał paltot służącemu i poszedł za innymi.

Jakże często błaha jakaś okoliczność wpłynie stanowczo na losy ludzkie! Idąc słuchać operetki *Wychowanie księżniczki* książę de Bligny ani się domyślał jak ważną to co do przyszłości jego wywoła zmianę.

Sala balowa promieniała wspaniałem oświetleniem. Świetne towarzystwo zasiadło na powiązanych z sobą krzesłach—salę zapełniono po brzegi. Było to jakby nagromadzenie lśniących atłasów, gaz i aksamitów; cała gamma świetnych barw, z pośród których wysuwały się śnieżnej białości ramiona. Lekkie poruszanie wachlarzy, wydawało odgłos jakby falowanie skrzydeł; gdy jakaś znana osoba wchodziła do sali, dawał się słyszeć szmer przytłumionych rozmów. W głębi sali, milcząca dotąd i pusta scena, zasłonięta jeszcze była czerwoną kurtyną.

Książę zwrócił się ku gromadce panów wśród których poznał kilku znajomych. W samym środku stał pan Escande, młody notaryusz, świeżo zajmujący to stanowisko, i przyszły spadkobierca argymilionowych rodziców. Ubrany z pańska elegancyą, prawił widocznie o czemś ważnem; zamilkł jednak natychmiast zobaczywszy Gastona de Bligny, i stojąc z roztwartemi ustami, patrzył z niewymownem ździwieniem na uśmiechniętą twarz księcia. W całej grupie głuche zapanowało milczenie, przerwane jedynie żałośnem odezwaniem się „szkoda, wielka szkoda!” Wyrazy te wypowiedział człowiek stary i łysy, wysokiego wzrostu, z twarzą bardzo czerwoną i z wielkiemi uszami, po za któremi jeżyły się kępki żółtawo-rudych włosów, na szyi miał sążnisty biały krawat, koszulę zapiętą na brylantowe spinki, na nogach lakierowane ciżmy, po nad któremi widać było białe bawełniane skarpetki. Cały ubiór i postawa zdradzały spanoszonego przemysłowca.

Przyłączywszy się do stojącej gromadki, Bligny podaniem dłoni powitał znajomych i czekał mocno zaintrygowany milczeniem, które mu się wydało nader wymownem. Chciał zapytać o czem mówiono i dla czego pojawienie się jego zamknęło wszystkim usta, gdy wyż wspomniany stary człowiek, pochylił się ku jednemu z przyjaciół księcia, mówiąc do niego dość głośno aby wszyscy słyszeli, a tem samem aby odmowa była niemożebną: „Proszę, przedstaw mnie pan księciu.”

Przyjaciel Gastona zwrócił się kn niemu ze ździwieniem i niezadowoleniem zarazem; zmarszczone brwi jego wyraźnie zdawały się mówić: Czego u licha zachciało się temu pyszałkowi? jednak nie wiedząc jak go się pozbyć, rzekł po chwili:

— Kochany książe, przedstawiam ci pana Moulinet.

— Przemysłowca, byłego sędziego trybunału handlowego, dodał prędko stary z brylantowemi spinkami; poczem chwytając ręce księcia, rzekł żałośnie:

— Mam zaszczyt znać rodzinę księcia; córka moja, panna Mouliet, pobierała edukacyą w klasztorze razem z kuzynką księcia, panną de Beaulieu... Tak, było to w Sacré-Coeur, najznakomitszym pensyonacie w całym Paryżu. Oh! bo gdy tylko szło o moją Atenais, nie oglądałem się na wydatki — wybierałem co było najdroższego i najdoskonalszego, i jeszcze zdawało mi się że to niedostateczne dla niej... Proszę wierzyć że z bólem serca dowiedziałem się smutnej wiadomości...

Jednocześnie pan Escande kręcił się niespokojny, przestępował z nogi na nogę, telegrafował rękami różne sygnały, z narażeniem zgniecenia swego śnieżnej białości gorsu od koszuli lub naruszenia artystycznie zawiązanego węzła krawatu, — hm! hm! powtarzał odkaszlując niby; daremnie, Moulinet nie umiał, czy raczej jak się zdawało nie chciał zrozumieć tego wszystkiego i prawił dalej swoje kondolencyjne komplementa.

— Alež, panie, przerwał książę marszcząc brwi, nie rozumiem co chcesz powiedzieć... Prawisz pan coś o jakiejś złej wiadomości odnoszącej się do mojej rodziny a głównie do panny margrabianki de Beaulieu—powtarzam, nic nie rozumiem, proszę tłomaczyć się jaśniej.

(*D. c. n.*)

# Opis do N-ru 40.

N. 1—2. Ubranie z vêtement. Zobaczyć vêtement nie podpięte na ryc. 17, a guzik na ryc. 12 w N-rze 41, forma na arkuszu z krojami N. II, fig. 6—10.

Dogodne ubranie do podróży lub spaceru, zwłaszcza w dni chłodniejsze, składa się ze spódnicy i długiego z boku zapinanego vêtement, które na modelu odrobione było z granatowego sukienka. Na fig. 6 oznaczona jest cienką linijką zmiana kroju w zwierzchniej połowie przodu, a na fig. 7 dajemy formę pleców z krótką baskiną, które dopełnia bryt prosty, (fig. 10), tylko w górze sfałdowany, a z podłużnych brzegów gładko zeszyty z boczkami krajanemi razem z przodami. Ażeby vêtement mogło czasem zastąpić płaszczyk, podpięcie z boków następuje za pomocą guzików i pentelek 4 cent. długich, zrobionych z grubego jedwabnego sznura, a przyszytych w miejscach wskazanych na ryc. 17 w N-rze 41, która przedstawia vêtement niepodpięte. Takież pentelki służą do zapięcia przodów, na guziki metalowe, których trochę zmniejszony model, przedstawia ryc. 12 w N-rze 41. Spódnica do ryc. 1, z materyału wełnianego w kratę oliwkową i ciemno ponsową, składała się z szerokich plisowanych wolantów, a w fałdy w koło ułożona spódnica do ryc. 2, była z tego co vêtement materyału, u dołu naszyta kilka razy szeroką pletnią jedwabną. Stojący kołnierz i ranwers z granatowego aksamitu.

N. 3. Płaszczyk z peleryną, dla małej panienki.

Płaszczyk zrobiony z jasnego wełnianego materyału, miał plecy formą luźno paltotową, a przody w fałdy ułożone, przez całą długość na guziki zapięte i szarfą atłasową przewiązane. Długą w górze zmarszczoną pelerynę, oszytą w koło haftowaną falbanką zdobi duży wykładany, atłasowy kołnierz.

N. 4—5. Dwa duże kołnierze dziecinne.

Ryc. 4 przedstawia kołnierz z białej haftowanej falbany 10 cent. szerokiej a 83 długiej, w rogach skośnie zastębnowanej, w górze w kontrafałdy ułożonej i wszytej w pasek 37 cent. długi, a 2 cent. niżej przestębnowanej. W górze dodana fryzka stojąca 2 cent. szeroka, do zapięcia służą dwa guziki i pentelki ze sznura.

N. 5. Kołnierz z haftowanego materyału. Krój N. V, fig. 23.

Na podszewce z cienkiego szyrtyngu, przykrojonej podług fig. 23, układa się w drobne fałdy, z wierzchu materyał, haftowany w paski podłużne, w odstępach $1\frac{1}{2}$ cent. Brzegi kołnierza oszyte dwa razy w kontrafałdy układaną haftowaną falbanką, 2 cent. szeroką; takaż falbanka stanowi fryzkę stojącą, szwy przykrywa wązka borta bawełniana. Do zapięcia kołnierza może służyć kokarda z kolorowej wstążki.

N. 6—7. Sukienka z paltocikowem vêtement, dla dziewczynki lat 6—8. Krój N. IV, fig. 17—22.

Ryc. 6 przedstawia z przodu sukienkę z gładkiego i deseniowego materyału; z pierwszego zrobiona była spódniczka ogarnirowana szerokiem plisowaniem, przedzielanem w równych odstępach, kontrafałdą 8 c. szeroką z deseniowego materyału. Deseniowe vêtement na cztery guziki zapięte, w górze w ranwers wyłożone u dołu skośnie ścięte i otwarte, dopełnia gładka bluzka, zeszyta na ramionach i bocznych szwach razem z vêtement, u dołu zmarszczona, w listewkę wszyta i odwracanym szwem do spódnicy przyczepiona nad garnirunkiem. Ryc. 7 przedstawia z tyłu sukienkę z gładkiego niebieskiego materyału; spódniczka ogarnirowana jest bufą i skośnemi, mało nadmarszczonemi falbankami, do vêtement zapiętego pod szyję, dodana mała pelerynka, zrobiona ze skośnego kawałka, 18 cent. szerokiego, a 58 długiego, któren w górze przemarszcza się 3 razy i wszywa w listewkę. Z jednego boku przecina się rozporek 5 cent. długi spięty kokardą, a drugą kokardą zapina się pelerynkę z przodu.

N. 8—11. Serweta na stół, ozdobiona haftem krzyżowym i koronką szydełkową.

Model serwety trzymającej 140 cent. w kwadrat; robiony był na popielatej kanwie Aïda. Deseń szerokiego szlaku robionego ściegiem krzyżowym i pojedyńczym, podaliśmy w Tygodniku w pierwszym kwartale r. b., a na ryc. 11 w bieżącym numerze, dajemy w naturalnej wielkości próbkę szlaczku wązkiego. Do roboty służył nowy rodzaj włóczki zwanej kameleonową, w trzech cieniach oliwkowo-zielonych; najciemniejszym kolorem robione były kontury deseniu i ściegi pojedyńcze, drugim wyszyty środek w deseniu szerokiego szlaku, a najjaśniejszym zapełnione tło. Brzegi serwety zdobiły zęby szydełkowe, robione z popielatych nici i wyszyte włóczką do cieniu. Na r. 8 dajemy jeden ząb wyszyty w naturalnej wielkości, a na ryc. 10 trochę pomniejszoną próbkę zaczęcia zębów, które u dołu odrobione są ząbkami z o: powietrznych, a w górze nagłówkiem z czterech rzędów słupków przedzielanych 1 o: powietrznem.



N. 1—2. Suknia z vêtement. Zobaczyć mały model niepodpiętego vêtement na ryc. 17, a guzik metalowy na ryc. 12 w N-rze 41. Krój N. II, fig. 6—10.

N. 3. Płaszczyk z peleryną dla małej dziewczynki.

N. 12—13. Dwa mankiety. Krój N. VI i VII, fig. 24—25.

Ponieważ teraz rękawy u sukien są po większej części wązkie i bez ubrania, więc najwięcej używane są do nich mankiety płócienne, zachodzące na rękaw. Na ryc. 12 podajemy mankiet szeroki a na 13 wązki, obadwa krają się podwójnie z płótna cienkiego, w środek daje się sztywną klejonkę, brzegi stębnuje pare razy, a brzeg przy ręce wszyó w prosty pasek 2 cent. szeroki, zapinany na guziki.

N. 18—19. Dwie wykwintne koszule nocne.

N. 18. Koszula z różowej crêpe de chine.

Okrągły karczek składa się z trzech 5 cent. szerokich bufek, przedzielanych wązkiemi wstawkami z walansienki. Z takiej samej koronki jest fryzka, garnirunek wachlarzowy wzdłuż przodu i falbany przy rękawach zakończonych bufką i wstawką.

N. 19. Koszula z blado-niebieskiej surah, garnirowana koronką 6 cent. szeroką.

N. 20. Szlak do rolet, kap, serwet i t. p.

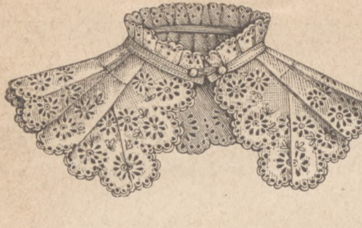
Haft gobelinowy na płótnie holbain, kratki ażurowe i koronka siatkowa. Podług pywyższej próbki można robić szlaki rozmaitej szerokości, albo nawet całe tło. Do roboty służy grube, białe płótno, holbain; matowe kwadraciki zajmują 39 nitek w kwadrat, a haft robi się podług obliczonych nitek, jedwabiem dobrym do prania albo bawełną w dwóch kolorach albo w dwóch cieniach. Model odrobiony był kolorem niebieskim i ciemno żółtym. Na kratki ażurowe, których robotę opisywaliśmy w poprzedzających numerach, wyciąga się po 15 nitek płótna; puste kwadraciki na skrzyżowaniu kratek, zapełniają kratki gipiurowe których dwie odmiany przedstawia próbka. Brzeg szlaku oszyty koronką siatkową robioną w zęby, liczące w najszerszem miejscu 11 oczek prostych. Deseń na koronce jest cerowany i wywodzony, do cerowania służą nici białe, a do wywodzenia bawełna lub jedwab żółty i szafirowy.

N. 21 i 22. Płaszczyk długi podróżny. Krój N. III, fig. 11 do 16c.

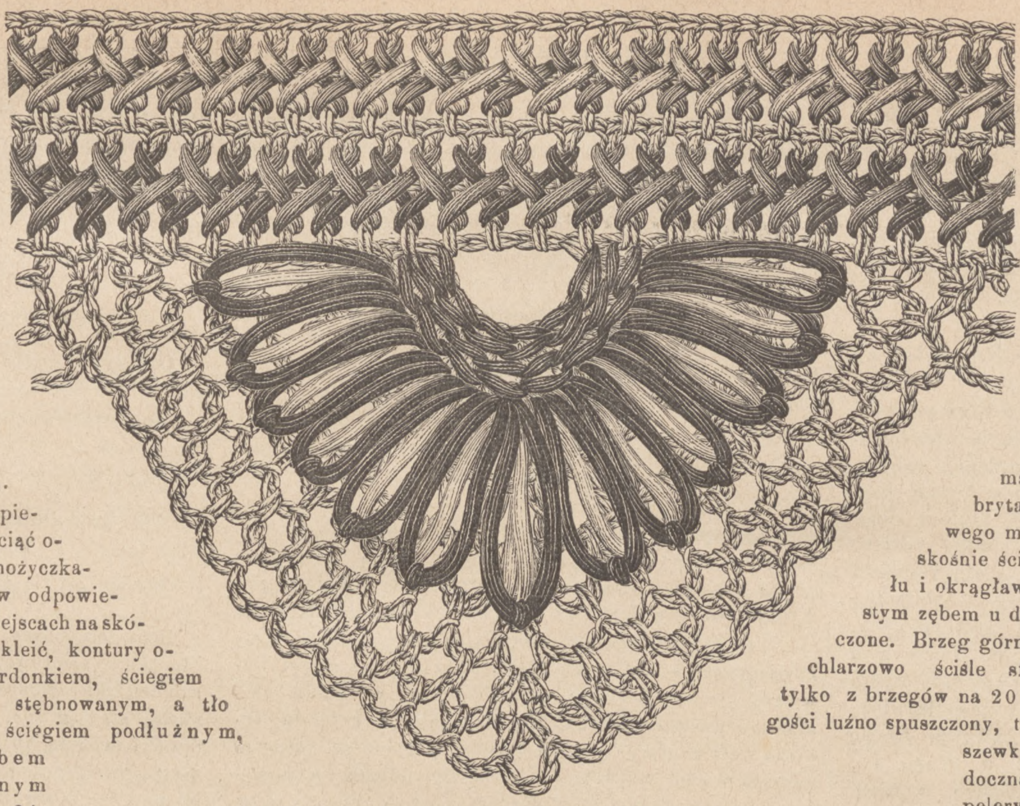
Ryc. 21 i 22 przedstawia z tyłu i z przodu, dogodny płaszczyk podróżny, którego model odrobiony był z ciemno-zielonego pledowego materyału, w kratę ponsową i białą, a przybranego gładkiem suknem ciemno-zielonem. Gdy części płaszczyka zeszyje się ze sobą podług odpowiednich znaków, wszywa się rękawy, których miejsce przyszycia na przodach, oznaczone jest na formie cienką linijką. Kołnierz stojący i wykładany, 14 cent. szerokie obłożenie rękawów, 4 cent. szerokie obłożenie przodów i dołu płaszczyka i trójkąt wszyty w plecy, mający 12 cent. dolnej szerokości, a ku górze spiczasto zwężony, były dane z sukna, a przestębnowane dwa razy z brzegów blado żółtym jedwabiem. Do zapięcia służą duże metalowe guziki; plecy zdobią długie wstązki ciemno-zielone repsowe.

N. 23—24. Poduszka podłużna. Aplikacya i haft na skórze. Desenie na arkuszu z krojami, fig. 28—29.

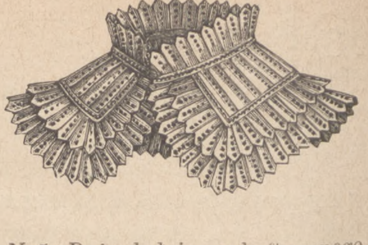
Do mękkiego pokoju przeznaczona poduszka miała tło środkowe $25\frac{1}{2}$ cent. szerokie a $55\frac{1}{2}$ długie z safianu bordo a szlaki z safianu ciemno bronzowego. Środek tła zdobił herb malowany, któren można haftowanym monogramem zastąpić, albo zostawić tło gładkie. Dziesięć cent. szeroki szlak w stylu maurytańskim, stanowiła aplikacya z ciemno zielonego repsu, na skórze ciemno bronzowej, której przyszycie do tła pokrywa szlaczek $\frac{1}{2}$ cent. szeroki, wyszyty kordonkiem ciemno zielonym, ściegiem podłużnym i stębnowanym; takiż szlaczek powtarza się w odstępie 6 cent. od



N. 4. Duży kołnierz z prostej haftowanej falbany, dla małej dziewczynki.



N. 8. Ząb do serwety ryc. 9. Robota szydełkowa. Próbka roboty na ryc. 10.



N. 5. Duży kołnierz z haftowanego materyału dla dzieci.

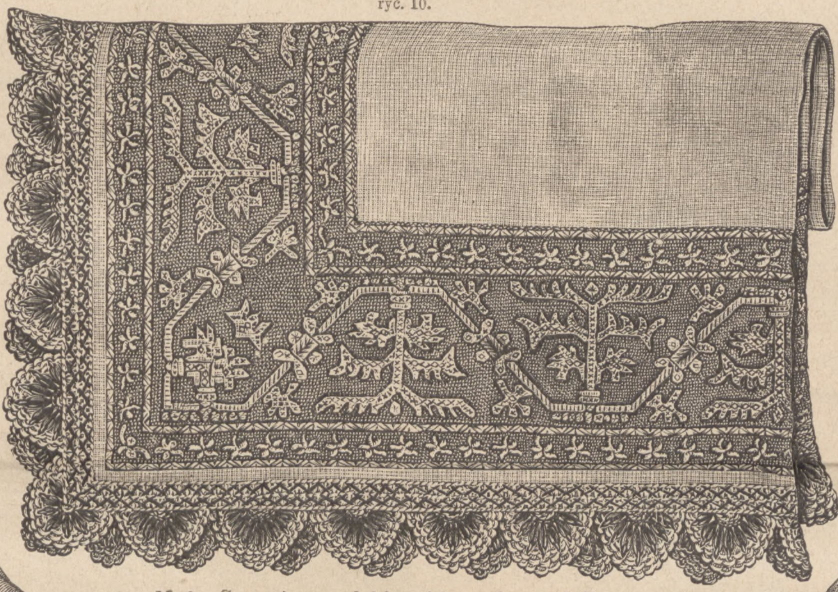
dolnego brzegu. Część deseniu w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 24, a ciąg dalszy na fig. 28—29. Kontury deseniu trzeba wykłuć na skórze w równych odstępach igłą, a następnie aplikacyą z repsu podklejonego papierem, wyciąć ostremi nożyczkami i w odpowiednich miejscach na skórze przykleić, kontury oszyć kordonkiem, ściegiem równym stębnowanym, a tło wyszyć ściegiem podłużnym, sposobem wskazanym na ryc. 24. Robotę wykonywa się w krośnach; Spód daje się z gładkiego safianu, a brzegi oszywa sznurem jedwabnym.



N. 6. Sukienka z paletocikowem vêtement, dla dziewczynki lat 6—8. Zobaczyć plecy na ryc. 7. Krój N. IV, fig. 17—22.

## N. 25. Przykrycie na poręcz do sofy. Haft płaski.

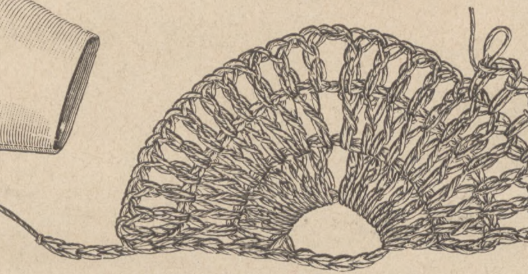
Model robiony był różno kolorową dwunitkową filozelą, na atłasie kremowym, podłożonym ze spodu płótnem. Liście trzema cieniami trawno zielonemi, kontury odznaczyć ściegiem sznureczkowym kolorem najciemniejszym, a żyłki nitką złotą, gałązki i wąsy odznaczyć kolorem ciemno drzewnym, a zapełnić trzema rzędami łańcuszkowemi koloru jasno drzewnego. Kwiaty robić kolorem heljotropowym i jasno niebieskim do cieniu, a kratę w środku i kielichy nitką złotą. Deseniu w naturalnej wielkości dla braku miejsca podać nie możemy. Frendzla u dołu sznelowa



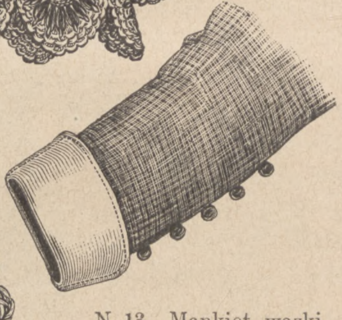
N. 9. Serweta ze szlakiem i koronką szydełkową. Patrz ryc. 8—11.



N. 12. Mankiet szeroki wyłożony na rękaw. Krój na arkuszu N. VI, fig. 24.



N. 10. Robota zęba szydełkowego, do ryc. 8.

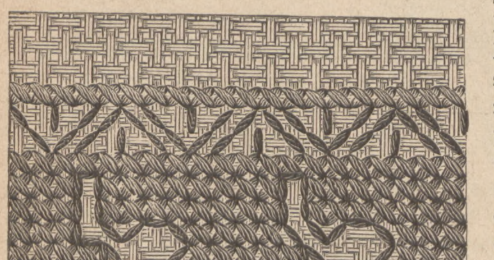


N. 13. Mankiet wązki wyłożony na rękaw. Krój na arkuszu N. VII, fig. 25.

## N. 26 i 27. Ubrania dla niedorosłych panienek.

### N. 26. Ubranie z pelerynką.

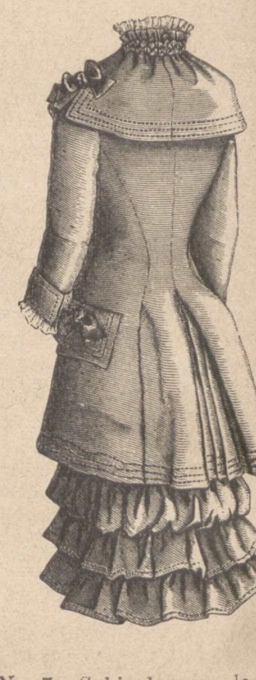
Odrobione było z lekkiego materyału voile de religieuse koloru ficelle z cienkiego bronzowego kaszmiru; z pierwszego zrobiona była spódniczka w koło drobno plisowana, przybrana patkami kaszmirowemi, w górze 12 cent. szerokiemi, u dołu spiczasto zakończonemi. Patek takich zrobionych na sztywnej podszewce z muślinu, nie dochodzących na 25 cent, do dołu spódnicy, daje się w koło 9—11. Do stanika z krótką baskiną, dodana z przodu część drobno plisowana, z tego co spódniczka materyału i sute, marszczone panier. Na tylną draperyę w górze na staniku przymocowaną, całą tym co spódniczka materyałem podszytą, potrzeba całego bryta kaszmiru, lub dwóch brytów łokciowego materyału, którego brzegi podłużne są skośnie ścięte do dołu i okrągławo spiczastym zębem u dołu zakończone. Brzeg górny jest wachlarzowo ściśle sfałdowany, tylko z brzegów na 20 cent. długości luźno spuszczony, tak iż podszewka jest widoczna. Mała pelerynka oszyta plisą skośną 5 cent. szeroką.



N. 11. Szlaczek do ryc. 9.

### N. 27. Suknia z odmiennym stanikiem.

Ryc. 27 przedstawia ładne, świeże ubranie dla młodych panienek. Dolną część spódnicy stanowi skośnie przykrojona, w kontrafałdy ułożona, 65 cent. szeroka falbana, z cienkiego wełnianego materyału w kratę, nad którą dana w górze bufa, tak że skośnie przykrojona, 45—50 cent. szeroka. U dołu lekko sfałdowaną bufę, przyszywa się odwracanym szwem na spódnicy, w górze wszywa w pasek, ułożywszy z przodu fałdy skośnie, a z tyłu w odstającą bufę. Do dołu spódnicy podszyte od spodu wązkie plisowanie, z tego co stanik materyału. Stanik z baskiną odrobiony z ciemnego sukienka lub kaszmiru, z przodu otwarty i z boku zapinany na patki z krytemi haftkami, mające 15, 9 i 6 cent. szerokości, dopełnia marszczona część bluzkowa, kończąca się na wcięciu w pasie, pod najwęższą patką. Do pleców z krótką fałdowaną baskiną, dodane długie i szerokie szarfy spadające na bufę. Wązkie rękawy z szerokiemi mankietami z materyału w kratę.



N. 7. Sukienka z paletocikowem vêtement dla dziewczynki lat 6—8. Przód na ryc. 6.

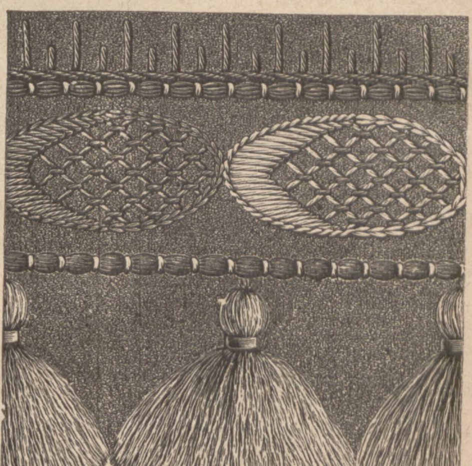


N. 14. Serwetka podłużna z haftem kolorowym. Patrz ryc. 15 i N. 2 na arkuszu.

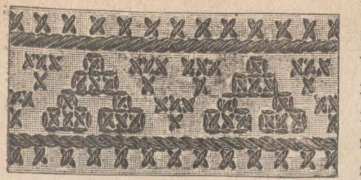
## N. 28 i 29. Ubrania dla małych chłopczyków.

### N. 28. Sukienka z pasem ze wstążki.

Model odrobiony z cienkiego, wełnianego bronzowego materyału, składał się ze spódniczki 21 c. długiej, ogarnirowanej dwoma 14 cent. szerokie-



N. 15. Szlaczek brzeżny do ryc. 14.



N. 16. Wązki szlaczek serbski.

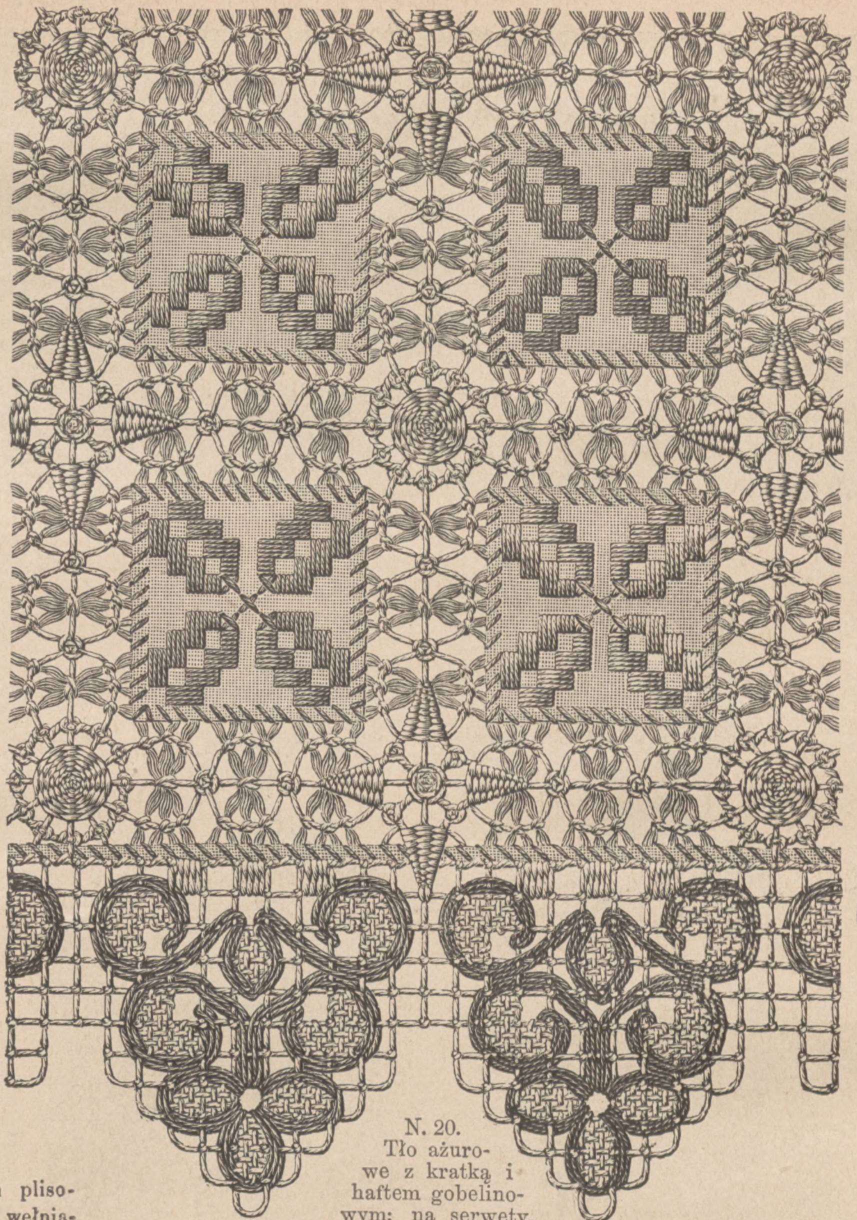
mi plisowanemi falbankami, jedna na drugą zachodzącemi i z bluzki fałdowanej, 30 cent. długiej. Do plecków w jednej sztuce przykrojonych, dodaje się materyału na 5 cent. szeroką, środkową kontrafałdę i na 5 wązkich fałd założonych z boków. Przody robią się w taki sam sposób, tylko fałdy zakładają się do przodu, a kontrafałda w środku służy do zapinania bluzki na guziki. W fałdę złożona, 10 c. szeroka atłasowa wstążka z boku sutą kokardą zapięta, stanowi pasek i przykrywa przyszycie spódniczki. Sprzączka w kokardzie guziki metalowe, błyszczące. Kołnierz mankiety haftowane koloru ficelle.



N. 18. Koszula nocna z crêpe de chine.

## N. 29. Ubranie z luźną bluzką.

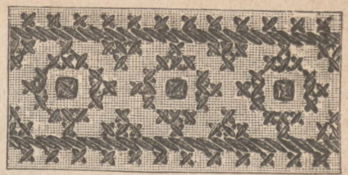
Spódniczka złożona jak poprzednia z dwóch plisowanych wolantów, zrobiona była z materyału wełnianego w drobną kratę, a bluzkę z ciemniejszego, gładkiego materyału, przymarszcza się u dołu i przyszywa szwem odwracanym do paska od spódniczki. Duży marynarski kołnierz i szerokie mankiety z materyału w kratę.



N. 20. Tło ażurowe z kratką i haftem gobelinowym; na serwety, story i t. p.

## Opis do N. 41.

N. 1—2 i 20. Sakiewka szydełkowa z zaokrąglonym końcem.



N. 17. Wązki szlaczek serbski.

Zaczyna się łańcuszkiem z 80 oczek pow. złączonych w kółko i obrobionych rzędem o: śc.; tło przedstawione w naturalnej wielkości na ryc. 20, składa się ze słupków między któremi w równych odstępach po dwa słup. przewleczony jest złoty sznureczek. Dolna prosta połowa woreczka liczy 22 obrobień, poczem zaczyna się ażurową część środkową, po skończeniu której w dalszym ciągu robi się część sakiewki z zaokrąglonym końcem. Siedm rzędów robi się bez gubienia oczek, dalej w 15 rzędach z boków gubi się po 1 o: tak iż ostatni rząd liczy tylko 20 o:. Prosty koniec ozdabia się ząbkami podług ryc. 20, a przy zaokrąglonym dodaje kwaścik. Kółeczko obrabia się podług ryc. 1.



N. 19. Koszula nocna z materyi surah.



N. 23. Podłużna poduszka. Haft na skórze z podkładaniem. Patrz ryc. 24 i fig. 28—29.



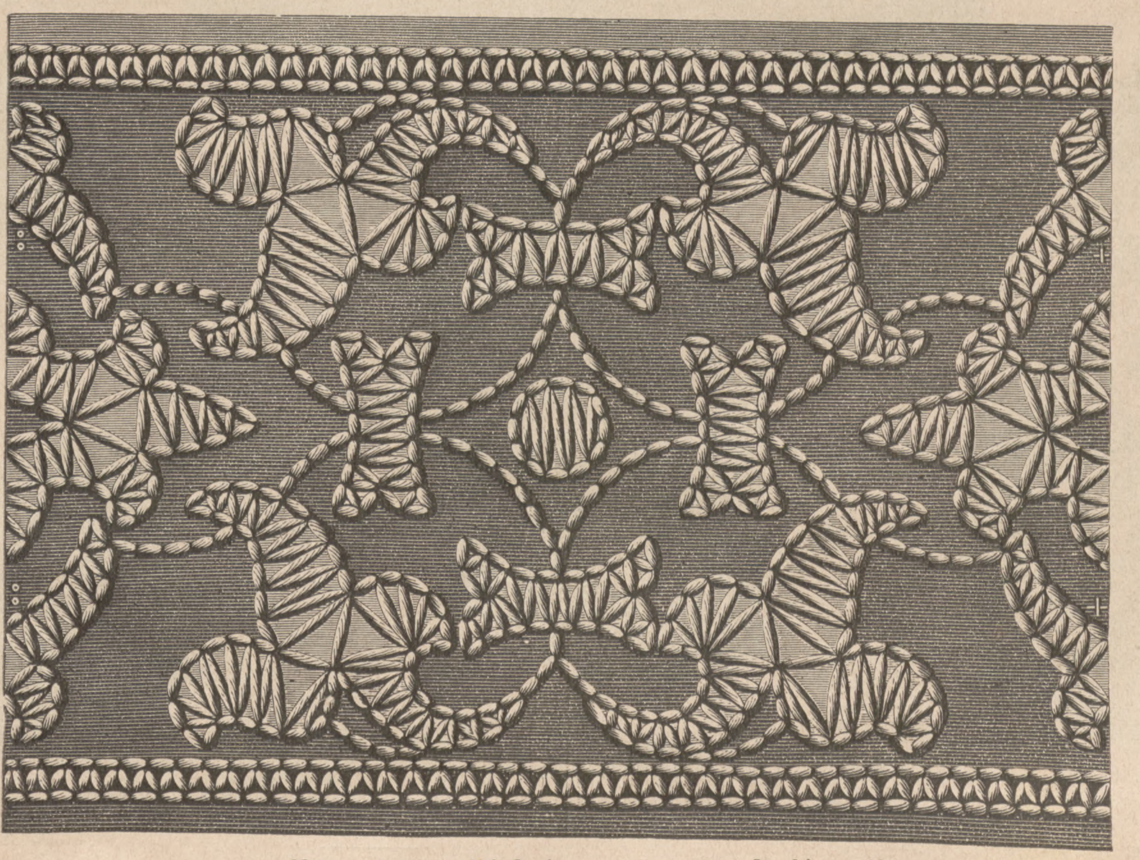
N. 21. Płaszczyk podróżny. Patrz ryc. 22. Krój na arkuszu N. III, fig. 11—16a.



N. 22. Płaszczyk podróżny. Patrz ryc. 21. Krój na arkuszu N. III, fig. 11—16c.

## N. 3—4 i 21. Sakiewka szydełkowa.

Zaczyna się na 80 o: i obrabia ciągle w kółko aż do otworka w środku; ryc. 21 wskazuje robotę tła sakiewki, ozdo-

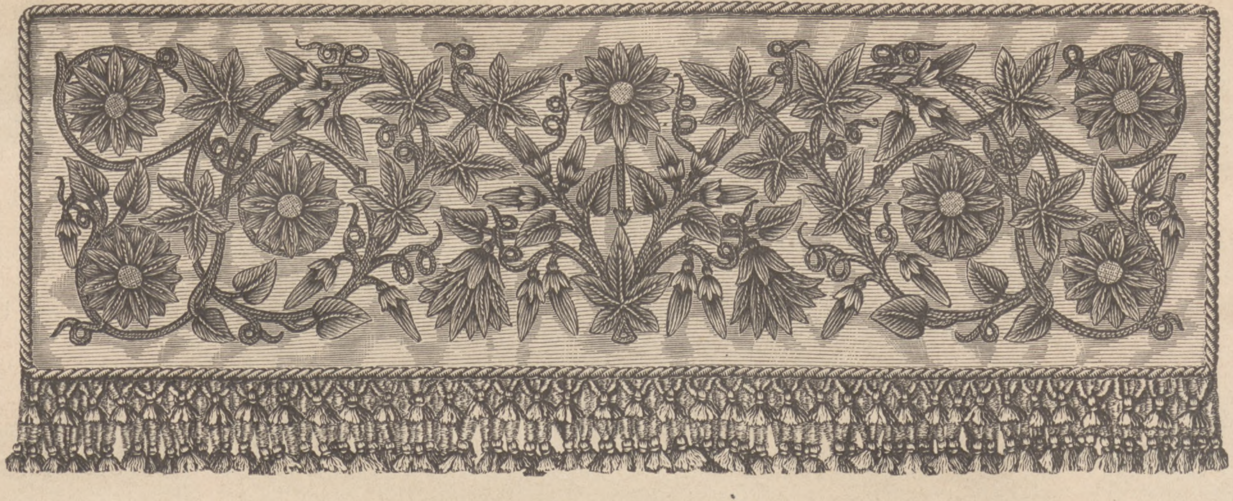


N. 24. Szlak z podkładaniem na skórze, do poduszki ryc. 23.

bionego deseniem z o: przewlóczonych przez dwa rzędy. Kółko obrabia się podług. ryc. 3.

N. 5. Suknia strojna z dwojakiej materyi.

Odrobiona jest z dwojakiego materyału i w dwóch kolorach: spódnica z trzema falbanami, zastębnowanemi w zakładki w połowie szerokości i oszytemi koronką 8 c. szeroką, jest z różowej materyi; krótki stanik z bawetem zapinany z tyłu, z okrągłym wykrojem, półdługiemi rękawami i upięciem à panier jest z zielonawego atłasu. Na staniku chusteczka koronkowa zapięta z boku różami, takiż bukiet u dołu stanika na skrzyżowaniu panier. Zamiast upięcia z tyłu dana wielka szarfa.



N. 25. Przykrycie na poręcz do sofy.



N. 30. Kapotka przybrana szeroką wstążką.

N 6, 11 i 36. Ubranie ślubne z welonem haftowanym. Patrz fig. 30 na arkuszu.

Suknia ślubna gładka z wielkim trenem uszyta z ciężkiego mięsistego atłasu koloru kości słoniowej, jest bez żadnej draperyi tylko z przodu u dołu dana suta potrójna riusza. Stanik z bardzo długim bawetem, sznurowany z tyłu, dopełniony marszczonem panier, pod szyją ma podwójne garnirowanie z koronki. Długie rękawiczki zachodzące na wierzch obcisłych rękawów. Welon upięty ze starodawnego szala koronkowego, haftowanego na cienkim koronkowym tiulu; dla osób chcących własnoręcznie przygotować sobie taki welon, podajemy wzór wyszycia ściegiem tamborkowym na tiulu, na ryc. 36 i 11, i fig. 30 na arkuszu z krojami.



N. 26—27. Ubrania dla młodych panienek.

N. 26. Suknia z pelerynką. N. 27. Suknia z odmiennym stanikiem.



N. 31. Kapotka repsowa dla starszej osoby. Patrz ryc. 32.



N. 32. Kapotka repsowa. Patrz ryc. 31.

N. 8. Woreczek Pompadour.

Uszyty z 60 cent. długiego, a 23 cent. szerokiego kawałka czarnego aksamitu podszytego atłasem lila; szwy boczne zasłonięte są wachlarzowym garnirunkiem z żółtawej koronki 6 cent. szerokiej, między którą wsuwane pukle ze wstążki lila. Na zwierzchniej stronie woreczka wymalowany bukiecik fijołków.

N. 9—10. Ubrania wieczorowe.

N. 9. Suknia z dekoltowanym stanikiem.

Przód sukni z gładkiej jedwabnej materyi, ozdobiony wspaniałym haftem ze szneli i perełek, bez porównania efektowniejszym od materyi adamaszkowej lub brokateli. Tylne bryty stanowiące tren, podpięte są w bufy zastępujące draperyę: na panier trzeba dwóch kawałków materyi po 75 cent. szerokich a 50 długich. U dołu sukni dana 14 c. szeroka riusza, układana w szerokie kontrafałdy. Stanik bawetowy z gładkiej materyi ma z przodu plastron haftowany, w górze 19 c. szeroki; wykrój stanika obszyty haftem 5 cent. szerokim. Przybranie stanowią róże w wielkiej liczbie przypięte na sukni z boków i na trenie.

N. 10. Suknia ze stanikiem pod szyję. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 26—27.

Ciemnozielony aksamit, materya surah zielonawego odcieniu i także atłas z aplikowanym aksamitnym deseniem składają materyał na tę wspaniałą toaletę. Na fig. 26 widzimy w jaki sposób krają się plecy aksamitnego stanika wraz z brytami stanowiącemi tren sukni; przody i boczki krają się krótko i dochodzą do części panier, wysoko odstających. Kamizelka panier i boki sukni suto garnirowane koronką, są dane w jednym ciągu z dwóch brytów surach, 2 metry długich. Stojący kołnierzyk i wykłady na rękawach dane z atłasu z aplikacyą. To samo ubranie daliśmy na r. kolorowej.

(D. n.)



N. 28. Sukieneczka z paskiem ze wstążki.

N. 29. Sukieneczka z bluzką.



N. 33. Kapelusz tiulowy.



Pl. 516.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.